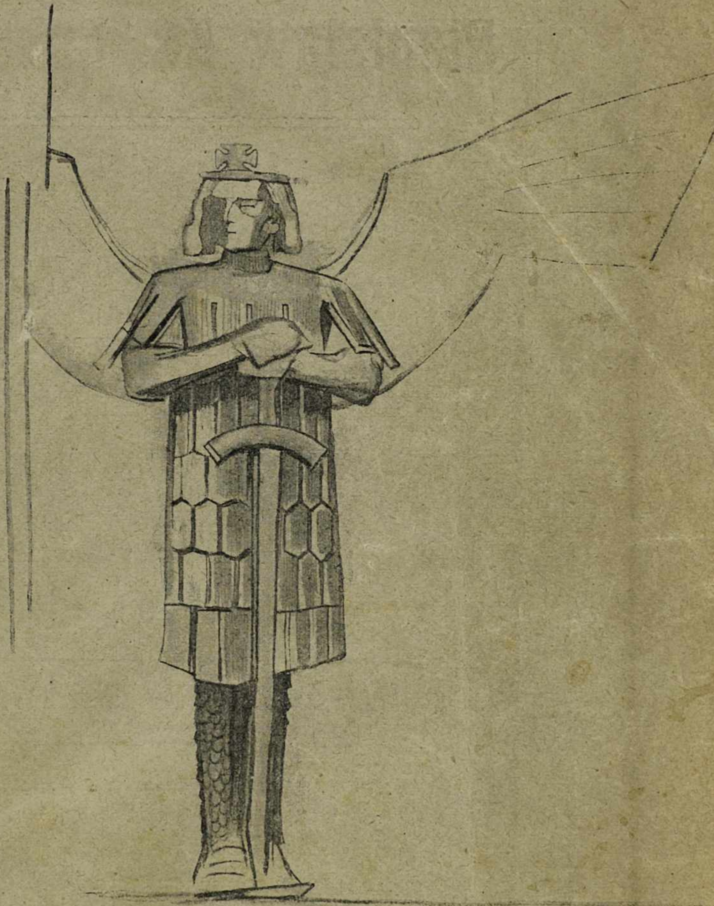
WITEŹ

ROCZNIK I. ZESZYT I.
d. 1 lutego 1908 r.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
w Warszawie, przy ulicy Książęcej
Nr. 6.



Rys. St. Wyspiański

WITEŹ

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca w zeszytach niniejszego formatu

każdy zeszyt zawiera 3 arkusze (48 stron) druku — zamiast dwóch zeszytów styczniowych niektóre z późniejszych będą odpowiednio zwiększone — prenumerata liczy się od 1 stycznia.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie — rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2, z przesyłką pocztową — rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kp. 50, zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Książęca 6.**

Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 5 do 6 popoł.
Administracya otwarta codziennie od 11 rano do 5 popołudniu

Cena zeszytu 1-go — kop. 40.

WITEŹ

ROCZNIK I.
ZESZYT 1.

WARSZAWA
1 LUTEGO 1908.



Rys. St. Wyspiański

. . . .

PIELGRZYMIE POLSKI, BYŁEŚ BOGATY, A OTO CIERPISZ UBÓSTWO I NĘDZĘ, ABYŚ POZNAŁ, CO JEST UBÓSTWO I NĘDZA, A GDY WRÓCISZ DO KRAJU, ABYŚ RZEKŁ:

— UBODZY I NĘDZARZE WSPÓŁDZIEDZICAMI MOIMI SĄ.

PIELGRZYMIE, STANOWIŁEŚ PRAWA I MIAŁEŚ PRAWO DO KORONY, A OTO NA CUDZEJ ZIEMI WYJĘTY JESTEŚ Z POD OPIEKI PRAWA, ABYŚ POZNAŁ BEZPRAWIE, A GDY WRÓCISZ DO KRAJU, ABYŚ WYRZEKŁ:

— CUDZOZIEMCY RAZEM ZE MNĄ WSPÓŁPRAWODAWCAMI SĄ.

PIELGRZYMIE, BYŁEŚ UCZONY, A OTO NAUKI, KTÓREŚ CENIŁ, STAŁY CI SIĘ NIEUŻYTECZNE, A TE, KTÓREŚ LEKCEWAŻYŁ, CENISZ TERAZ, ABYŚ POZNAŁ, CO JEST NAUKA ŚWIĄTA TEGO, A GDY WRÓCISZ DO KRAJU, ABYŚ RZEKŁ:

— PROSTACZKOWIE WSPÓŁUCZNIAMI MOIMI SĄ.

. . . .

ADAM MICKIEWICZ

(z Ksiąg Pielgrzymstwa)

Tablicę tę, wyjętą z wieszczej świątyni, pragniemy wmurować w duszę Narodu, by ją wniósł do ziemi obiecanej i ołtarz swojego życia na niej postawił.

REDAKCYA



GUSTAW DANIŁOWSKI

Memento

Pęd do pracy kulturalnej czynnych członków naszego społeczeństwa charakteryzuje nastrój obecny.

Że jest to praca niezbędna, owocna i musi się odbywać energicznie, gdyż dzięki hamulcom zewnętrznym i wewnętrznej depresyi, w której leżeliśmy przez dziesiątki lat bezczynnie, zaniedbaliśmy się strasznie — o tem dwu zdań być nie może.

Ubóstwo nasze pod tym względem ujawniło się całkowicie w tej krótkiej błyskawicy, w której przyjrzeliśmy się sobie od stóp do głowy. Mamy 75% analfabetów w literalnem słowa znaczeniu, a procent prawdziwie światłych obywateli kraju jest rozpaczliwie niski. Prasa przygasła w dusznej atmosferze cenzury i, choć ta zelżała, swąd jej trwa w dalszym ciągu. Pomimo, że wszystkie stronnictwa, a właściwie ich zawiązki, ozdabiają się, prócz realistów, przymiotnikiem „demokratyczne", pod względem szerokości rzutu i rozmachu tej ideologii ustępujemy naszym przodkom z przed lat sześćdziesięciu.

Nietylko jednak opłakany stan kultury naszej popycha ludzi do pracy w tym kierunku, niepoślednią rolę gra w tym zwrocie ogólne zniechęcenie do działalności politycznej, która nie ziściła tak szybko, jak marzono, pragnień i nadziei. W dodatku jest to obecnie jedynie tolerowana droga działalności społecznej, po której stąpając ostrożnie, odbarwiając się gorliwie ze wszelkich kolorów, można jeszcze utrzymać się w kolei legalnej.

Stwarzanie swoistej kultury jest właściwie naturalną funkcyą każdego normalnie rozwijającego się narodu, która się odbywa niejako sama przez się, jak bicie serca, oddychanie lub mechaniczne poruszanie się wahadła nakręconego zegara.

W naszych warunkach jednak trzeba to wahadło co chwila potrącać, posuwać skazówki i tak sobie sztucznie radzić — dopóki klucz naczelnej sprężyny mechanizmu nie zostanie odzyskany. Bez tego klucza zegar idzie dzięki osobistym wysiłkom ludzi dobrej woli, spóźnia się, działa niezdarnie, ale koniec końcem idzie ku radości zegarmistrzów, zwłaszcza wychowańców szkoły „pracy organicznej", która dopiero teraz jako legalnie możliwa szerzyć się zaczyna. Przeciw tej radości jak wogóle przeciwko wszelkim uczuciom podniecającym energię nic nie mamy, chcielibyśmy je nawet podsycać w tej dobie małodusznych lamentów, że się różowych nadziei obłok rozwiał, że nie spadła manna niebieska, że się nie udało nabyć niżej kosztu rzeczy, które drogo kosztują, i za co niegdyś umieliśmy płacić z królewską hojnością i po nieudanem kupnie nie rozpaczać.

Pragniemy natomiast zwrócić uwagę, że powrotna fala „pracy organicznej" nadciąga i to z całym bagażem swej ideologii. Coraz częściej spotykamy się z wiarą, że rozwój kulturalny, krzewienie oświaty, podnoszenie dobrobytu jest uniwersalnem i jedynie skutecznem lekarstwem na wszelkie dolegliwości nasze, że samodzielność wewnętrzna za wszystko wystarcza i że jest ona w dodatku możliwa bez owładnięcia naczelnemi sprężynami życia, że zegar pójdzie dobrze i bez klucza.

„Nikt chyba nie wątpi, że społeczeństwo może bronić swych praw do bytu *tylko* powoływaniem się na swą kulturę" — rozlega się tak kategorycznie sformułowane zdanie przez usta miarodajne, w zgromadzeniu poważnem, potwierdzone ogólnem milczeniem.

W słowach tych odzywa się uparty głos z przed trzydziestu laty, powracają wskazania wąskich aspiracyj i abstynencyi politycznej, utwierdza się zasada bierności, stanowisko jedynie obronne, taktyka napadniętego żółwia, który cofa się w swoją skorupę, przeciwstawiając jej wytrzymałość zewnętrznym ciosom.

Zapewne, im ta skorupa jest grubsza, tem silniej trzeba uderzać, by ją roztrzaskać doszczętnie, ale że się łupie zwłaszcza od wierzchu, to nie ulega wątpliwości. Spójrzmy we własne dusze, czy nie są one

kalekie nieraz do rdzenia, czy nie brak nam gruzów i ruin, fatalnych stygmatów wewnętrznego dopasowania się do spętanego życia.

Legitymowanie się kulturą do praw swego bytu przypuszcza istnienie jakiegoś trybunału, który stosownie do złożonego egzaminu praw tych udziela.

Takiego trybunału nie znamy.

Wiemy za to, że hordy barbarzyńców zburzyły Rzym, a znów Prusacy, powołując się na wyższość swej kultury, dążą do wytępienia „mniej wartościowej nacyi" — Polaków.

Wilk nie pyta, co zjada: czy zwykłego barana, czy merynosa. Pożera wbrew argumentom, bo ma mocniejsze zęby, a tłustość ofiary często podnieca jego apetyt i potęguje sprawność żuchwy. Prusacy nie niszczyli materyalnej kultury zaborów, przeciwnie — dbali o nią, jako o przyszłą siedzibę dla siebie.

Fakt egzystencyi jest dostateczną podstawą żądania praw bytu — i płomienna, nieugięta, powszechna wola istniejących sama sobie te prawa zdobywa, jeśli nie mają zginąć.

Kultura wytwarza nader sprzyjające warunki do szerzenia się tej woli i dla zagrożonych w istnieniu musi być rozumiana jako niezwykle cenny środek, zapas, lecz nie cel sam w sobie.

W te sprzyjające warunki, by osiągnąć pożądany rezultat, należy wprowadzić czynnik świadomości, o co przedewszystkiem chodzi, do czego ta materyalna, moralna i umysłowa kultura zmierza. Po co się nagromadza ten kapitał, czy — by go tylko mieć, cieszyć się z posiadania, leżeć wygodniej pod tym pancerzem, by tyć — czy na tej tarczy oprzeć się, by wstać?

Wyobraźmy sobie statek wyrzucony z morza przez burzę i zamknięty w doku. Roztrzaskane maszty, zdarte żagle, zwichnięty ster, złamana busola — podziurawiony kadłub na mieliźnie do reszty się rozsycha, żre go rdza, toczą pasorzyty, obrasta pleśnią...

Tuli się po kątach wystraszona załoga ocalonych rozbitków.

— Naprawić statek! — pada wreszcie hasło.

— Zgoda!

I oto statek dzięki pracy przygotowawczej odzyskuje zdolną do płynięcia postać — ale nie wyrwie się z doku, jeżeli jednocześnie nikt nie zatroszczy się, by zawczasu pod kotłem wysoki ogień rozpalić, nie rozwiną skrzydeł pozszywane żagle, jeżeli się jednocześnie nie wytwo-

rzy żaden wicher ogromny, i statek nie znajdzie wyjścia, jeżeli nie odszuka właściwej gwiazdy przewodniej, która mu w pracy widocznej na pokładzie i skrytej pod pokładem stale przyświecać musi, w ognisku swem krwawą tęsknotę całej załogi jednoczyć.

Bez tej gwiazdy można tak dalece utonąć w robocie organicznej, że gdy żywiołowo wybuchnie ogień i ryknie wicher, nie będzie wiadomo, którędy się na wolną falę wydostać, i znów zacznie się błądzenie, chybotanie się z boku na bok, szamotanie się w różne strony, niewątpliwie bardziej kulturalne, ale równie zgubne.

— Łazarzu, wynijdź sam! — zawołał głosem wielkim Chrystus, gdy wskrzeszał.

A gdy wyszedł ten, który umarł, mając związane ręce, nogi i twarz chustami, kazał mu się przedewszystkiem chust pozbyć, bo by inaczej zmartwychwstały nie mógł odejść od jaskini swego grobu, co już cuchnął.

Wskrzesiciele kulturą ten werset biblijny powtarzać sobie powinni, jako stałe memento.

I to jedynie pragnęliśmy tym szczerym i żarliwym pracownikom przypomnieć.

MICHAŁ SOKOLNICKI

Szkice polityczne. I.

„...Y nie przestaną myśli swych, aż je skutkiem wypełnią"...

1. *) Wedle jednych, na początku było słowo. Jednakże tyle słów wyrzeczono w różnym czasie, że zaiste trudnem byłoby szukać i znaleść zpośród nich jedno jedyne, a zatem pierwsze. Zaś wszystkie słowa od początku istnieć razem nie mogły. Mniejsza o całą nieprzyjemność zjawiska. Mniejsza, że wbrew wszelkiej oczywistości ojcowie odpowiadaliby za winy swych dzieci. Ale języki najistotniej w świecie byłyby pomieszane w onem słowie. Czyli naprzód nastąpić musiało zmieszanie języków. To zaś się stało dopiero wonczas, kiedy ludzie jednej mowy będący, poszedłszy wstecz, przeciwko drodze słońca, znaleźli miejsce gdzie budowali miasto i wznieśli wieżę. Zaś wieża miała być tem dla człowieka, czem siedem kręgów opasujących świat, a także tem, czem siedem planet ukazujących się słońcu; zaś dosięgać miała obłoków niebieskich, kędy pycha człowieka miała swe mieszkanie. I za to był im pomieszany jeden ich język; rozproszyli się we wszystkie strony słońca. I od najdawniejszych dni rozpadłą jest ich budowa.

---

*) W szkicu niniejszym i następnych omijamy wszelkie odnośniki do źródeł, które bez wyjątku znajdują się w znanych i powszechnie dostępnych księgach Biblii. Nie używaliśmy cudzysłowu tam, gdzie ośmieliliśmy się własnemi słowami interpretować tekst, posługując się zawsze komentarzami.

Zatem zaś wiadomem jest, że na to właściwie człowiek ma słowo, aiżby myśli swoje miał za czem ukrywać. Albo także, aby zgoła myśli mieć nie potrzebował. O tem, jakoby na początku miała istnieć myśl, jak sądzę, mówić zdrożno w ogólności, grzechem zaś pójścia drogą przeciw słońcu byłoby powiedzieć to dzisiaj, w Polsce. Jedynie więc mogło najpierwiej być słowo, ukrywające myśl, a więc fałszerstwo myśli. Był-li więc na początku fałsz? Któryż człowiek to przyzna, który nie jest ku temu za dumny? Człowiek zawsze, nawet szydzący, wielbi wysokie swoje człowieczeństwo. Człowiek, który jest nędzą w pragnieniu, żalu i nadziei swojej, nędzy tej nie przypisze przenigdy swojego początku. Człowiek jest za dumny. Skopany i opluty jeszcze śni swoją wysoką szlachetność. Zbity i przydeptany, jeszcze w błękity gotów jest ponieść swoje człowieczeństwo. Zali więc to fałsz pierwszy przemienił się w prawdę jego marzenia? Czyli też fałszem każda godzina po drodze promieni, co się pod stopy ścielą, fałszem wszystkie godziny zrodzone po kolei — wstecz, aż ku pierwszej, w sercu fałszywego człowieczeństwa?

Czy może słowem onem, a więc i początkiem była jeno próżność ludzka? Nad każdem z tych pism, na wszystkiem słowie oddanem nam przez starożytność leży już dzisiaj cały ciężar wielolicznego wątpienia. Składane są jedne do drugich przez wieki; tworzone żmudną robotą zbierania; wymuszone zamknięciem, męką i krzywdą. Każde słowo starego pisma piecze jeszcze dzisiaj, jak ślad krwi. Każde słowo, jak ciemna, przedziwna zagadka na głębinie wieków złożona. Nagle cud się staje na toni mroku. Spływa iskra zwysoka, niewiadoma, niewidziana przestrzeń jednej chwili wyraźną, jak dłoń święta. Cóż się stało? Niepojęte—li w słowo zawarto?

Odtąd człowiek czyni swoją zabawę przez wieków dwadzieście. Kwitnie jeden kwiat za drugim. Opadają pełne, dojrzałe owoce. Wokoło rodzi się jutra cudowna zagadka. Gdy popatrzymy wokoło, na świeżo zorane skiby, widzimy to straszne, ciemiężycielskie panowanie jutrzejszych jutrzenek i dziwów zrodzonych z zapóźnionych mar. Śladami cichych promieni nocy żyją przechodzące samotne piosenki. Z południowego skwaru dobywają się dzikie urągowiska sobie, duchowi nikczemnemu, i jasnym dniom. Żmija wypełza ze złotego kielicha przeświętej ofiary. Orzeł się wzbija w kraje błękitne...

Och, jakże dosyć jest poezyi na polskiej ziemi!

2. Staje przed oczyma mojemi Grecya w złotych blaskach i złotych cieniach, mieszkająca w domu tak prostym, że jednem życiem zda się tętni rozliczność jego, tak świetlanym, że blask słoneczny nań padający podobien jest jego prostocie. „Jako pośniedziało złoto, zmieniła się barwa najlepsza, rozmiotano kamienie świątynne po rogach wszech ulic." Odgłosy runiętych gmachów i odbłysk czerwieni złoto-słonecznej padł jeszcze na spalone piaski aleksandryjskie. Od nagich skał w paszczęce lazurowego morza wstało widmo, szła grzebieniem fal cisza myśli, bladość marzenia. Zaś w ciszy i w marzeniu nie jest-li słowo, jak rozum powszechny? Nie było-li u Boga i na jego piersi położone, jak fala na sercu morza? Nie byłoż ono Bogiem, jak fala morzem jest? Nie byłoż bez czasu, jako fala morza jest przeciwko doczesnym niepokojom człowieka?

Rozdzielone były na początku rzeczy wszystkie i stawały się jak piorun w błyskawicy nieba. Zali jak piorun pierwszy i druzgocący przyszedł rozum na ludzi? O, nie, on szedł ścieżką wydeptaną przez cierpliwy trud nad przepaścią i urwiskiem. Płynął szlakiem połyskliwym, kołyszącym, zostawiony przez nędzę wieków i śmierć. Szybował, jak ptak w górze, śladami tych złudzeń i złamanych patrzeń w niebo, którędy szły pokolenia od początku. Na drogach wielolicznych stawała się światłość. I ujrzał Bóg, i zaznał człowiek, że światłość była dobra, bo na ciemnej drodze, nad urwiskiem skały, chroniąca i użyteczna. Sycił człowiek widzeniem swojem oko do żmudnego szczegółu roboty przywarte. Widział, ogarniał blaskiem wzroku wszystko dziejące się pod słońcem. I niewiele pamiętał dni z pośrodku żywota swojego.

Bo było światło, które istniało, ale niewidziane. Był czas wyżyn i świętość cudu, ale niepoznane, „Na świecie był... ale go świat nie poznał. Do swej własności przyszedł, ale go właśni jego nie przyjęli".

Był kwiat, kwitnący jednej nocy ciemnej. Któż przyszedł w mrok i w zatrwożenia takiej nocy, któż kwiat ten widział? Było dobro, lecz któż je poznał? Przyszło światło i stał się rozum powszechny, lecz któż nim i kiedy odbłysnął?

Rozum powszechny? analizujmy pojęcia nasze i nie zostawmy ich na skrzydłach wiatrów, co przechodzą falami nieskończoności. Czem jest rozum powszechny? Jest li to spotkanie się ludzi najpierwsze i pierwsze upragnienie krwi; jest li to spotkanie się ich późne i gryzienie dusz wzajemne? Jest to może wskazanie gromady dla jednego człowieka;

może przykazanie dzisiajsze stugębne, jutro puste jak wiątr? Ach, głupstwo stare nakształt tego świata starości i stare jego walki okrucieństwo! Jest li powszechnością zmówienie się jednych przeciwko drugim? Albo rozdarcie wewnętrzne kraju i naszej doli i samozagryzienie siebie w bólu? Jest li to może dzień, który przeszedł, i krew wylana napróżno, albo też dzień, co nadejdzie w rozdzieleniu dusz, w rozpaczy narzekań, w trwodze klęski, tych królów, którzy berło duchów dzierżą dziś?

Ach, łatwo, łatwo, stawiać na początku, czcić na wyży niedostępnej, czego człowiek nie pojmuje, co w narodzie rozdarto na szczątki, czego niema, jak jeno spojrzeć daleko wkoło, po pustce zakrwawionych pól.

3. Szybowałoż to słowo w przestrzeni wolnej, bez winy i bez kary? Byłoż, jak słowa mnogie odtąd powiedziane, zawieszone nad przepaścią, kędy nie znaleść myśli, jeno głuchość była i niepamięć? O, nie zatrważał się człowiek słowem. W pustce zawieszone, zdawało mu się dzwonem bijącym na ziemi. W pustkę rzucone, były taranem, przebijającym wskroś twierdze, a z gruzu i miału wznoszącym podniebne świątynie. Słowa były krwią pokoleń. Słowa były trwogą nadziei. Słowa pamięcią wszystkiego tego, co zachowano i co pod gruzem z gruzem nie zmarło.

Słowa o przeszłości, jak prędko tracą się wasze dźwięki, jak łatwo, jak śmiesznie, że serce jest pęknione, i że dzwon jest pusty. Słowa długo później są powtarzane jeszcze bez myśli żadnej, łatwem jest ich poczęcie.

W temże to słowie mędrzec starożytny szukał początku wszechświatów, ruchu światła nad stygnącemi wodami, martwego głazu ziemi, bez końca rodzącego życie, i wszystkiego ptactwa na powietrzu i wszystkiego robaka ziemi, każdej duszy żyjącej. Słowo było pokarmem pierwszym i stworzeniem potrzeby pokarmu zarazem, i samąż istotą potrzebę czującą. Uniosło się nad oceanem prawód, gdzie ciemność się zwierała nad głębiną. Panowało nad ziemią pustą i próżną. Było i w ziemi i na wodach, i w próżni chaosu, połyskliwe jak światło, jeszcze w ciemności przedwiecznie żyjące.

Lecz nie słowo przełamało oceany, rozdzieliło żywiołów siłę, rozdarło nierozdzielne. A krzyk będący na początku słowa świadczy jeno o wiekach zmagania i walki.

Pochowajmy grecką bajeczkę, gdy tylu innych nie znamy, lub też kładziemy je w trumny, pod korce nowych pojęć. Wiele zyskamy na tym pogrzebie. Zbędziemy wiary w słowo. Opowiemy nędzę słowa. Będziem się śmieli z ludzi słowa. Nie poddamy się nigdy, nie wzruszymy serca naszego ani przez jedną chwilę bojaźnią czy świętością, chwałą czy pięknem słowa. Myśl, która do nas się włamie śród nocy, o godzinie samotnie świętej, przegryzie się sama w sobie i zostanie na dnie duszy niepowiedzianą. Chwała nasza nie zabłyśnie. Świecidła nas nie otoczą. Będziemy czekać cierpliwie dnia, w którym słowo nasze nie będzie naszym początkiem. A wiedzieć będziemy, że słowo było na początku jedynie w greckiej bajeczce, w łagodnem uśpieniu skwarów Małej Azyi, męczonej widzeniem ostatecznego zniszczenia swojej duszy, przeszłości swojej w grodach z marmuru, w szyszakach z błyszczącej łuski morza.

4. Była wedle innych na początku wszystkiego miłość. Z niej, jak gałęzi wysoki las z jednego pnia się począł. Z niej poszły w górę, ku błękitowi a chmurce sinej smutki nasze, żale za nigdy niewidzianem, tęsknoty za niemożebnem. Z niej, jak z pnia, lepkie ssawki w głąb pulchnej, ciepłej ziemi — maci. Z niej nienawiść i trwoga, wzgarda i zapamiętałość, jakby wielkie zwoje zgrzybiałej kory, chroniące ciepło wewnętrzne, czystość niepokalaną, kochanie pierwsze. Bowiem wrzkomo najprzódziej była miłość. A od niej dopiero rozmnożyły się nędze nasze.

Bo miłość była w człowieku i człowiek był miłością. Ale miłość ciążyła grzechem. Pod człowiekiem, w tajnem ukryciu, w ciszy i wątpieniu pracował grzech; pod człowiekiem była pożądliwość grzechu, i człowiek nad nią zapanował tem jedynie, że z grzechem się zrosła i stała się jednem miłość jego.

Naonczas zaś człowiek wymarzył swój stan najpierwszy. Był tam chłód pożądania bez troski i bez trwogi. I światło zimne, co ani parzy, ani przepala na proch. Złoty czas bez kacerskich klęczeń przed złotym cielcem. I cicho dźwięczący w powszechnej łagodności żywiołów smutek cudownej rozkoszy nad kryształowemi wodami. Tak było, myślał człowiek, kiedy w życiu ludzi się stała w on czas, na początku wszystkiego, jedna jedyna miłość.

I pocieszył się bajeczką nową, i żył dalej, dławiony ciężarem, który w sobie swą myślą wyrobił. I dławił człowiek jeden drugiego tymi sposobami, jakie mu myśl jego podała pod rękę i pod czyn. Stał się okrutny w tresurze. Marząc o prostocie, był giętki, śliski, wielooczny i mnogocewkowy. Szukał różności dróg miłowania swojego; i odnajdywał jeno wzgardę, na głębi ducha leżącą, i trwożną nienawiść, która mówi jedyna, gdy człowiek się zbliża do człowieka.

Pracował w samotności swojej. Przyjął mękę najsroższą w osobności serca swojego. Zamknął się w jednej dolinie bez wyjścia i znalazł w niej swoją jedyną pieczarę. I tam wydał krzyk duszy swojej. Tam zaczął kochać i wielbić człowieka. Znalazł swoje przemienienie. Udeptał w sobie węża. Myśli jego poczęły kwitnąć; serce pieczarnym ostatkom życia się radować; i płakał, jak dziecko. W tęsknocie za wszystkiemi straconemi resztkami kochania, w nędzy pustki kamiennej, w przeraźliwej ciszy łoskotu spadających w doliny skał, uczył się kochać ludzkość. Zaiste, musiał nie mieć wprzódzi nikogo, aby módz pokochać jednego człowieka, i teraz pogrześć musiał w sobie wszystko wspomnienie każdego zpośród ludzi, aby pokochać ludzkość.

Ziemia to bezpłodna, kraina bezdrożna i pusta. Człowiek po niej schodzi wdół i wpoprzek sam, bez odetchnienia. Bierze kamień nieokrągły, z dołów nieprzystępnych go wydźwiga i pełza po skale z kamieniem pod wysoki szczyt. Poczem z cichem osłupieniem patrzy i słucha, gdy kamień skacze pośród kwiecia dolin, gdy kamień trzaska o głaz przepaścisty. I schodzi znowu aż na głąb najsurowszą i najnikczemniej samotną, by odnowa zaczynać swoje prace.

Tak „póki dzień nie nadejdzie i nie nachylą się cienie". Cóże mu zostanie, gdy zblednie złota i krasna obręcz zachodu i przyjdzie mroczna cisza rozpamiętywań? Cóż stanie się wonczas z jego ukochaniem?

I cóż było w jego nocy nad pustemi głębiami, w nocy najpierwszej? Gdy miłość jeszcze nie wstąpiła mu w duszę, miłość przychodząca, jak rzadkie ziele, co zakwita pod progiem domu, ze smutku, z trwóg i nienawiści poczęte.

5. Myślę, że na początku nie było nic, jeno siła.

Ona była rzeczą pierwszą i nienazwaną. Była światłem, które istniało już w ciemności. Uniosła się w czasie bez przemijania i w prze-

strzeni bez miejsca, jak duch wieczyście czuwający nad niezgłębionemi wodami.

Ona była tem, czego nie było jeszcze. Była pierwszą chwilą i pierwszym krzykiem, który rozdarł przestrzeń nieistniejącą na części wszechistnienia.

Ona była istotą niszczącą nieistnienie. Była złamaniem się, i pierwszą nienawiścią, co wprzódy pełgała nad ciemnicą i nie była, jeno tęsknotą i nie miała, jeno wyobrażenie wszystkiego, a stała się wszechświatem przez pierwszą walkę i pierwszą, tworzącą, nienawiść niszczenia.

Ona od niebosiężnej krawędzi gór szła lodowcem ku zielonej dolinie. I ona była pierwszym wdziękiem zieleni i kwiatu, i ostatnim błyskiem i rozkoszą opadających owoców. Z lodowcem kamyki niosła na duże pola, w głębie dolin, i układała je i miażdżyła w słój ziemi ziarnisty. Na nim rozpostarła wodę jak kryształ lodowy czystą. Wody podniosła i uczyniła wód upadek w głąb ziemi, co wyjrzała płodna, uśmiechnięta słońcu. Każdy kwiat wznosiła i ku ziemi gniotła, aby był nowem, świętem życia naczyniem. Gdy pojawił się człowiek, a życie w dziesięciowieczach spływało mu na urabianiu pierwszej broni swojej przeciw bratu swojemu z kości ojca i matki swojej, człowieka ta siła parła ku ciężkim czynom, a potem gniotła na miazgę, a jego kosteczki z resztkami słupów, budowanych pracowicie przez setki pokoleń, czynią nowy słój ziemi, najżyźniejszy.

Ona jest w ogniu na głębinie, w kuźni czarodziejskiego okręgu ziemi, gdzie się tworzą i znikają wszystkie tkanki życia. I ona jest tylko, bezgranicznie zimna i srebrnie bezmyślna w otchłaniach gwiazd, w wieczystych obrotach świata, które nie są, jeno stawaniem się i wysychaniem milionów ogni, które nie są, jeno pełganiem początku nad niezmierzoną ciemnicą oceanu wszechświata.

A siłą tą była wola, mówiąca ze spokojem wieczystym rzecz niewymówioną. A wolą był ruch. A ruch był jeno siłą istniejącą. Więc w sile był koniec i początek. I bez niej nic się nie stało z tego, co jest. I przez nią jest światłość i noc, i utwierdzenie między ziemią a wodami, i wieczór i zaranek, i nasienie wszelakiego życia. „I były rzeczy wszystkie bardzo dobre". Napełniły świat walką i nikczemnością życia; trudem i niezgłębioną nędzą. I były, i będą po wieki wieków.

I ruchowi temu niema początku, ani zatrzymania, ni końca, bo jest wieczny i nieśmiertelny, i w sobie sam zawarty.

6. I cóż pomoże Człowiek? Zali więcej, jako jeno cząstką tej mocy, którą jest, pozostać na wieczność i uprawiać ciałem pokoleń nowe pokłady matki swej, ziemi ukochanej?

I cóż może człowiek, jeśli nie siłą swoją? Ona mu była dana przed kolebką, ażeby nędzy życia zdołał zakosztować. Przez nią żyje. Czem jest, nie wie. Co czyni, nie wie. Działa i kuje młot na swoich braci, i czyni wszystko przebojem. I potrzebuje silnej ręki i serca tęgiego i najzimniejszej ze wszystkich wytrwałości.

Siła istniała przed wszelką człowieczą umową, siła przed wszelkiem najpierwszem postanowieniem, siła była, jest i będzie na przestrzeni świata przed wszelkim swoim hamulcem, przed każdem powiedzianem, wierzonem czy łganem prawem.

„Rzekłem w sercu synom ludzkim, aby ich Bóg doświadczył i ukazał, że są bestyom podobni".

Aby żyć, trzeba być silnym. Zdaje mi się czasem w dni szare i mętne, gdy myśl naokoło przygasa w obłędzie wspólnej niewiadomości, że aby zachować życie niewolnika, na to nawet trzeba mieć dość siły. W dolinie ciemnej, pod najwyższą górą, pod wieńcem śniegów, kędy słońce niespodziane i nagłe wschodziło dziwacznie palące o południowej porze, i gdzie cisza była wiekuista i życie umierało u człowieczych stóp, myślałem, że nie gór obręcz zamknięta, nie tysiące śniegowych lat nad przepaściami dzisiaj, jutro i jeszcze za lat tysiąc wiszące: lecz mocne życie człowieka doliny broni przejść, którędy były drogi Hannibala i Drugiego Cezara. Górskiemi ścieżki, jak dwa tysiące lat temu, tak dzisiaj znowu płyną narody. Człowiek zazdrości drugiemu człowiekowi miejsca na stopę jego. Lecz twarda praca i zimna siła nieprzebyte dołem wytknęła granice. Gdzie płodny skłon pola, kędy zieleń świeża i ciemniejsza, gdzie kwitnie wielkolistny krzew winogradu, puste, równe, prawie, jak moje rodzime pole, jak okiem dojrzeć, się otwiera. Lecz moc człowieka zawarowała szczęście polu swojemu.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Z powodu „Trybuny Ludów"

Cały dorobek ideowy, pozostawiony przez emigracyę polską z r. 1831, pogrzebały późniejsze wypadki. Po roku 1863 struny uczuciowe pękły, grunt ideowy zachwiał się, zakołysał i runął w przepaść. Inteligiencya polska, straciwszy wraz z nadzieją i wiarę w podstawy tej nadziei, zaczęła na nowych fundamentach budować gmach życia. Znalazła je w pracy organicznej, w trzeźwości i rozwadze, w zimnej pogardzie dla wzlotów podobłocznych, dla ideałów i marzeń, co wiodły niedawno całe szeregi „straceńców" na ofiarne pola czynów i poświęceń. O tych czynach i poświęceniach mówiono z żalem i złorzeczeniem, za trudy i znoje, za ból i mękę dni mrocznych obwiniano przeszłość, całe lata gromadzono przeciw niej dowody, argumenty; potępiali ją dziennikarze, artyści, poeci, uczeni; potępiali tak długo, aż zginęła i przepadła. Z okresu, przypadającego na czas pomiędzy 1831 a 1849 r., ocalała tylko poezya, ocalała jako utrwalenie wieszcze ideałów, cierpień i działań ówczesnych, jako droga pamiątka po snach niewyśnionych, po złudzeniach, rozwianych przez wichry rzeczywistości. Jeśli wspominano tę przeszłość, to wspominano jako piękną legiendę poetycką, zawieszoną hen, nad błękitami. I do dziś dnia podziwiamy poezyę romantyczną, pławimy się w blasku jej sławy, ale nie znamy bohaterów, działaczów, przewodników, których czyny, uczucia i wrażenia ta poezya uwieczniła w słowie; nie znamy gruntu, na którym rozkwitły przepię-

kne kwiaty wieszczego natchnienia. I nieznane są wysiłki zbiorowe rozrzuconych na ogromnej przestrzeni Europy tułaczów, nieznane prace ich umysłu i ducha.

Co wiemy dzisiaj o gienialnym umyśle Mochnackiego, czy nie jest dla nas tajemnicą przejasna postać Stanisława Worcla, co nam mówi wielki samotnik Lelewel, co wiemy o nieustraszonym żołnierzu i znakomitym publicyście, Wiktorze Heltmanie, jakie wspomnienia wiążą się z nazwiskami Wołłowicza, Michała Chodźki, Stolcmana, Krępowickiego, czy znamy ich czyny, dzieła, choćby ich nazwiska? Czy umielibyśmy scharakteryzować Goszczyńskiego jako obywatela, co wiemy o działalności emigracyjnej Słowackiego, czy rozumiemy dobrze Mickiewicza jako nauczyciela, działacza, wodza?...

Epoka pozytywizmu ponury cień rzuciła na dziesiątki promiennych postaci, w otchłani lekceważenia pogrzebała ich prace i wysiłki ducha. Czas rozwiać mgły uprzedzeń i w świetle prawdy odtworzyć tę przeszłość, czas nawiązać potargane nici ideowe, wykazać ich ciągłość i związek z ideałami dni dzisiejszych.

Więc cofać się, wracać do mogił i z pianą bezsilności na ustach błąkać się po zarosłych chwastami zapomnienia cmentarzach, o płyty grobowców krwawić sobie pięści? Przenigdy! Społeczeństwo żywe zna tylko jedną drogę, a ta zawsze prowadzi naprzód, ale społeczeństwo żywe nie pozbywa się i z przeszłości tego, co pozostało w niej piękne, świeże, młode, czem można było żyć długie lata, a co, potępione, wzgardzone, skazane na zagładę, minęło bez wpływu i śladów. Dziś każdy głos tej przeszłości, choćby to był głos najpotężniejszy, mija bez wrażenia.

Mniej więcej rok temu ukazały się w języku francuskim nieznane przedtem artykuły polityczne Mickiewicza, a wkrótce potem przetłómaczono je na język polski.

Mickiewicz przemówił.

Głos Wieszcza zagrzmiał burzą i gromem, ale gromy przebrzmiały bez echa, zbudziły nieporównanie mniej zainteresowania, niż brzęczenie współczesnego komara, niż tomik bladych wypracowań publicysty z dni naszych. Kilka, zaledwie kilka artykułów, kilkanaście wzmianek bibliograficznych -- to wszystko, na co się całe piśmiennictwo polskie z powodu nieznanych prac poety zdobyło! Pierwsza najnowsza premiera w teatrze, sensacye w kinematografach większe sprawiają wraże-

nie, dłużej żyją w pamięci, niż zjawisko, które gdzieindziej poruszyłoby całą inteligientną opinię kraju.

Przeszłość mści się.

Nie przebrzmiały jeszcze i pokutują do dziś bałamutne poglądy, wygłoszone w epoce pozytywizmu. Nie tak to dawno, jak Biegeleisen zarzucał Mickiewiczowi szowinizm narodowy, mówił o krzywdzie, jaką poeta wyrządził i literaturze i społeczeństwu. A głosowi Biegeleisena wtórowały dziesiątki innych. Póżniej Piotr Chmielowski, nie doceniając działalności ideowej i czynów Mickiewicza, zbagatelizował je w oczach ogółu, a później jeszcze prof. Kallenbach nawet dobrą wolę poety poddał w wątpliwość, a prof. hr. Tarnowski przeszedł wszystkich swoich poprzedników i następców i napisał wprost, że Mickiewicz za swoją „konstytucyę" mógłby zasłużyć na wdzięczność Bismarka i Murawiewa. I padały te oszczerstwa w dzień jasny i najczęściej przelatywały mimo uszu bez protestu. Głosy uwielbienia profesorów francuskich, Micheleta, Quineta, Dumesnila, zastąpiły, niestety, głosy profesorów polskich. I zdziałały swoje. Do dziś dnia na łamach pism wszelkich kierunków i odcieni ukazują się artykuły, niemal w ten sam światły sposób oceniające całą działalność społeczno-polityczną Mickiewicza.

Poeta jako działacz nie miał poczucia rzeczywistości! — biadają najostrożniejsi z jego komentatorów. Bo czyż człowiek, nie bujający myślą w obłokach, mógłby namawiać Piusa IX, aby stanął na czele nowożytnej krucyaty? Tak, Mickiewicz nie miał poczucia rzeczywistości! Ale co było rzeczywistością, któż jej poczucie miał wówczas? Może druh poety, bohater włoski, Mazzini, człowiek praktyczny, obdarzony wielkim talentem organizacyjnym, twórca „Młodej Europy", naczelnik rządu rewolucyjnego w r. 1849, ten sam entuzyasta, który kilka miesięcy temu wzywał papieża do pokierowania ruchem wolnościowym, wzywał w przekonaniu, że na gotowe do wybuchu miny padnie lada chwila żagiew płonąca ze stolicy apostolskiej? Czy może to poczucie miał Pius IX, kiedy ogłaszał amnestyę, nadawał liberalny samorząd Rzymowi, lub rzucał hasło sfederowania Włoch? Czy może to „poczucie" miały rozentuzyazmowane miliony Włochów, Niemców, Francuzów, Turków, Żydów, nasłuchujących w naprężeniu, zali Pius nie rzuci słowa, które nową erę rozpocznie w dziejach świata?... Mickiewicz nie miał poczucia rzeczywistości!... On, który wierzył naiwnie w Ludwika Napoleona.... chociaż tę naiwną wiarę podzielał milion rodaków, cały

szereg działaczów ludowych we Francyi, cały szereg pisarzów i poetów w różnych państwach i krajach. Mickiewicz błądził, nie dorósł do zrozumienia ówczesnych teoryj!... On, który lekceważył przebudowę społeczną na zasadzie utopijnych pomysłów Blanca, Considéranta, Cabeta, lecz jednocześnie widział tysiące krzywd dookoła, a widząc je, mówił o „powszechnej sprawie proletaryatu" i najsilniej propagował solidarność międzynarodową ludów, solidarność, co przetrwała szlachetne pomysły utopistów. Mickiewicz nie miał poczucia rzeczywistości, wogóle nie był politykiem! Bo politykiem nazywamy każdego kawiarnianego pożeracza artykułów wstępnych, każdego dziennikarza, piszącego te artykuły, każdego agitatora i mówcę wiecowego, ale odmawiamy tej nazwy Wieszczowi, chociaż on w politykę kładł umysł gienialny i duszę wielką i serce szlachetne.

Co to jest polityka?

„Polityką, działaniem, — pisał Mickiewicz już w „Pielgrzymie Polskim", — nazywamy tylko czyny, albo słowa i myśli, które rodzą czyny"...

Mickiewicz sam działał bezpośrednio, a któż może powiedzieć, że jego słowa i myśli nie rodziły czynów, że płomienne artykuły o miastach robotniczych, o orleanizmie, o reakcyonistach i zdrajcach nie należały do tych iskier, co wywoływały pożar niezadowolenia? Któryż publicysta-polityk może powiedzieć, że słowo jego rodzi czyny? Gdzież zresztą szacunek dla Słowa Mickiewiczowskiego? Kiedy poeta mówi: „białe", komentatorowie jego do dziś dodają: „to znaczy: „niebieskie". I legienda o niedorzecznościach Mickiewicza, o jego straszliwych błędach i zgubnych wpływach trwa dalej nierozwiana. Głos poety mierzy się skalą głosów pisklęcych, poglądy — punktami programów dzisiejszych, czyny — miarą własnej małości i własnych postępków. Działaczowi z połowy ubiegłego stulecia, jego ideom, myślom, czynom każe się żyć w atmosferze smutku i nikczemnej nędzy dni naszych. Jakże łatwo odnieść później zwycięstwo nad *takim* Mickiewiczem, jakże łatwo w takich warunkach pogrzebać „Trybunę Ludów" w ciepłej wodzie ogólników i lekceważenia!

„Trybuna Ludów" jest jedną z najaktualniejszych książek, jakie się w ostatnich czasach ukazały. Są w niej ustępy, są całe artykuły,

które dotykają kwestyj tak żywych, tak obchodzących dziś ogół, jakgdyby w teraźniejszości były pisane. Takie prace, jak „Włochy potrzebują pieniędzy", jak „Przedmowa do procesu w Bourges", jak „Orleanizm", „Solidarność reakcyonistów i zdrajców", „O prześladowaniu prasy", nawet takie drobiazgi, jak „O powołaniu do porządku Piotra Leroux", z małemi zmianami, dotyczącemi nazwisk i terenu, dziś jeszcze mogłyby być drukowane jako artykuły wstępne.

Zmieniło się tło, przebrzmiały wypadki, ale nie przestała być aktualną historya zmagania się ze sobą dwu światów. W dniach walki i czynu powstał w głowie Mickiewicza projekt wydawania pisma. Szumiały ulice Paryża, wrzała Francya w oczekiwaniu wielkich zdarzeń dziejowych, kołysały się niespokojnie ludy Europy, cały świat zdawał się walić w gruzy, a słońce nowego życia podnosiło się coraz wyżej i coraz silniejszym płonęło blaskiem. W chwili, kiedy poeta obejmował redakcyę „Trybuny", opadały już wzburzone fale, dął wicher reakcyi, łamał szeroko rozpostarte żagle swobody, hamował pęd rozhukanych żywiołów. Po radosnych porankach otuchy, po promiennych dniach walki szła noc, wiała grobowem tchnieniem, roztaczała coraz szerzej swe posępne skrzydła. Rozpływał się zwolna dym upojeń, w żelaznych obręczach rzeczywistości pękały ostatki złudzenia. Na widownię wypełzły ze swoich kryjówek niewidzialne w dniach walki rezerwy „straży bezpieczeństwa" i z wysiłkiem, godnym Hébertów, zaczęły gasić tu i owdzie płonące jeszcze ogniska wolności. Polała się „krew bratnia", bruki Paryża powlokły się purpurą. A gawiedź reakcyjna sprzyjała organizatorom „dni czerwcowych", prowadziła dalej dzieło zniszczenia i dokładała usiłowań, aby utrwalić swe wpływy.

W dniach tryumfu ulicy, zatrwożone stronnictwo orleanistów wysłało do rządu swych przedstawicieli.

„Kupiec nie sprzedaje, fabrykant nie fabrykuje, robotnik nie pracuje, — powiedzieli rządowi tymczasowemu. — Więc zróbcie tak, żeby ci ludzie sprzedawali, fabrykowali i pracowali, a unikniecie niebezpieczeństwa" *).

W miarę wzrostu reakcyi, wzmagało się na siłach stronnictwo orleanistowskie, rosło, potężniało, przemawiało coraz głośniej i powie-

*) Artykuł Mickiewicza z dnia 5 maja.

wało coraz odważniej wzniesionymi wysoko sztandarami egoizmu narodowego i wyłączności klasowej. Słowa „naród“ i „ojczyzna“ nigdy przedtem nie były tak nadużywane. „Orleanizm — pisał Mickiewicz, — podjął się sprowadzenia z istotnej drogi narodowej ludzi, którzy poświęcili się posłannictwu obrony idei narodowej“. W imię czego? W imię własnych interesów. Aby tylko zmusić rząd, — są słowa Mickiewicza, — „do wydania sobie na pastwę posad, interesów pieniężnych i budżetu“.

Tak orleanizm wyglądał w rzeczywistości. Jakże inaczej sam siebie reklamował, w jakie barwy i pióra się stroił, ilekroć własnemi przemawiał słowami!

„*Fakt dokonany, dobrobyt, porządek, własność, rodzina, społeczeństwo zagrożone, anarchia, równowaga budżetu, nieprzyjmowanie wiadomości urzędowych, równowaga europejska,* — są to słowa, formułki z tysiąca innych, zręcznie używane przez orleanizm, aby powstrzymać pochód idei demokratycznej, aby paraliżować wysiłki jej przedstawicieli u władzy“ *).

Każde z tych słów jest jak błyskawica, w której blasku widnieje jakiś nowy rys strasznego potwora, zwanego podówczas orleanizmem. Portret, stworzony przez Mickiewicza, należy do tych wyjątkowych wizerunków politycznych, których barwy nie blakną pod działaniem czasu, nie tracą wyrazistości i życia. Ale walka z rakiem, toczącym organizm Francyi, z „trądem egoizmu“, jak orleanizm nazywał poeta, nie zasłaniała mu oczu na oceany krzywd, gwałtów i nędzy, które niemal w całej Europie występowały z swych brzegów. Wzrok Wieszcza przebiegał dalekie lądy, państwa, kraje, zatrzymywał się wszędzie, gdzie się toczyła walka o wolność, ożywiał się iskrami zapału, lub zachodził mgłą serdecznego współczucia. Ileż razy słowo redaktora „Trybuny Ludów“ grzmiało, jak surma bojowa!... Jakiż zapał ożywia poetę, gdy wtóruje radośnie szczękowi oręża na Węgrzech, ileż mocy zawiera w sobie artykuł, w którym Mickiewicz mówi o materyalnych potrzebach zbuntowanych Włochów i wskazuje im źródła bogactw, i przypomina rabunki Radetzkiego, i woła do nich, aby nie zwracali uwagi na złowrogi syk prasy reakcyjnej, bo wystarcza, że pragną wolności, aby im reak-

---

*) Artykuł z d. 16 maja. Podkreślenia Mickiewicza.

cya rzuciła obelgą w twarz!... Niemal w każdem słowie czujemy pulsowanie krwi gorącej i przyśpieszony rytm serca i zapał, który tworzy cudy, i odwagę, co skrzydła przyprawia u ramion!...

W kurzawę krwi dymiącej, w płomienie patrzał poeta, krwią i płomieniem pisał swoje artykuły. A pisał je z powodu najbardziej zagmatwanych spraw różnych krajów i różnych narodów. Zdumienie ogarnia, gdy się pomyśli, jak szybko oryentował się Mickiewicz w tylu zawikłaniach, jak doskonale oceniał sytuacyę, jak wszechstronnie umiał ją później zobrazować. Mylił się często, to prawda, ale najczęściej mylił się wtedy, kiedy myliły się miliony, kiedy „omyłki" były wypływem naturalnego zaufania w zwycięstwo prawdy, w tryumf sprawiedliwości. Nie było tak gienialnego umysłu, któryby zawsze przewidział wynik walki, a Mickiewicz był tylko... gieniuszem.

Jest jeszcze jeden rys, który cechuje artykuły Mickiewicza. Tym rysem jest niepokalana czystość intencyj, a zarazem żelazna moc w zwalczaniu własnej wiary, ilekroć razy silniejszą od niej okazała się rzeczywistość.

Mickiewicz-napoleonista, głęboko wierzący w dobre chęci Ludwika Napoleona, przypomni mu, na wypadek, gdyby świeżo kreowany cesarz zechciał pójść w ślady wielkiego imiennika, wyspę św. Heleny i salwy karabinowe w Pizzo! Mickiewicz, którego papizm tak raził Herzena, będzie miał odwagę rzucić płomienne słowa pod adresem Piusa IX i wyrzec, że „religia podług niego ma polegać na zapewnieniu ludziom korzystania z dobrych rzeczy ziemskich oraz swobody w urządzaniu parad religijnych".

I wystąpi Mickiewicz, człowiek głęboko religijny i szczery katolik, przeciw księżom, prałatom i wyrzucać im będzie, że oczekują zbawienia od złota, kanonu i protokułów. Nie przejmie się teoryami i systemami ówczesnych utopistów, ale zawsze stanie po stronie pokrzywdzonych i wyzyskiwanych, nie zawaha się nigdy wypowiedzieć słów prawdy możnym i władnym.

Redaktor „Trybuny Ludów", któremu współczesność zarzuca brak poczucia rzeczywistości, nie da się obałamucić pięknymi frazesami ministrów francuskich, będzie dyskredytował politykę rządu francuskiego, ostrzegał przed tajemniczymi krokami reakcyi, przewidywał trafnie jej plany i knowania.

Artykuły Mickiewicza kipią życiem, często pęka w nich słowo gniewu i strzela oburzenie, ale ich ton jest górny nawet wtedy, kiedy poeta odpowiada najzawziętszym swym wrogom, kiedy depce podłość i zdradę.

„Trybuna Ludów“ — to ta sama polityka, którą poeta określił już w „Pielgrzymie Polskim“...

Do księgi życia i księgi pieśni Mickiewicza przybyła nowa karta...

„Trybuna Ludów“, acz jej naczelny redaktor silnie odcisnął swoje indywidualne piętno, należała do tej samej kategoryi czasopism, co organ Proudhona *le Peuple,* co *la Réforme, la République* itd. Wszystkie te pisma łudziły się, że masy ludowe, pogrążone w chwilowej bezczynności, porwą się wkrótce do nowej walki, że zegar dziejowy wydzwoni niebawem godzinę zwycięstwa. Niemal cały okres czasu od rewolucyi lipcowej do 1849 roku był okresem głębokiej wiary w bliski tryumf dobra i prawdy. Na gruncie tej wiary rodziły się pomyłki, wykwitały piękne, lecz niemożliwe do ziszczenia projekty. Łudzili się przywódcy ruchu ludowego we Francyi, a wraz z Francyą łudziła się połowa Europy. Tułacze polscy, miotani burzą, jak liście, oderwane od pnia ojczystego, nie mieli więcej złudzeń, niż cała współczesność. Jednakże w społeczeństwie naszem powstała i coraz bardziej utrwalała się legienda o braku zmysłu realnego, o szaleństwach i naiwności działaczów polskich z tego okresu. I rzeczywiście ich polityka, rozpatrywana przez szkła doświadczenia długich dziesięcioleci, może się wydać niemal tak rażącą, ich nadzieje tak zwodniczemi, ich brak poczucia rzeczywistości tak wielkim, jak pomyłki, popełnione w teraźniejszości, jak nadzieje, które rozpaliło wczoraj, a które pogasiły mroźne powiewy dnia dzisiejszego. Ale te błędy nie powstrzymają fali wypadków, i koło dziejowe będzie toczyło się dalej po drodze postępu. I błędy bowiem są płodne w następstwa.

Ktoby jednak doniosłość działań przebrzmiałych chciał właściwie ocenić, ten musi rozpatrywać je na tle chwili dziejowej, na tle wszystkich prądów umysłowych, społecznych i politycznych.

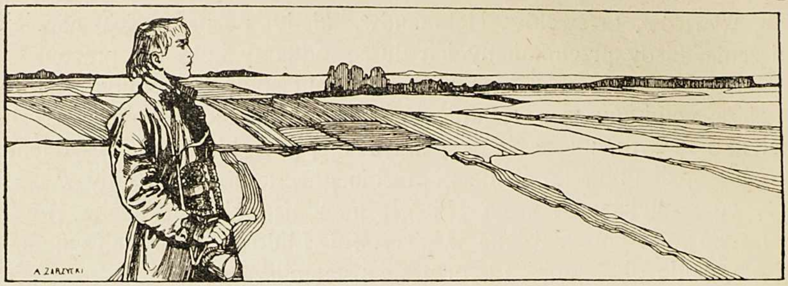
Czem była działalność Mickiewicza? Jakie znaczenie miała „Trybuna Ludów“?

Ocenimy ją w pełni dopiero wtedy, kiedy przestanie być tajemnicą historya emigracyi, kiedy wskrzesimy zapomniane postaci Mochnac-

kich, Worclów, Lelewelów, Heltmanów, kiedy poznamy ich nadzieje i dążenia, kiedy przenikniemy ich dusze, oddamy hołd ich pracom.

Dopiero w szeregu tych prac testament społeczno-polityczny Mickiewicza, wypisany w „Trybunie Ludów", stanie się całkowicie zrozumiałym i żywym, ukaże się w pełni swojej potęgi i blasku. Testamentu tego nie spali obojętność, nie pogrzebie głusza milczenia. Gdy w myśl tego, co polityką na łamach „Pielgrzyma" nazwał Mickiewicz, myśli jego i słowa, wypowiedziane w „Trybunie Ludów", staną się czynem — wtedy pęknie obojętność, otworzą się usta milczącym...





MARYA KONOPNICKA

Pocałunek Roberta Emmeta

Emmet, jeden z przywódców Związku Połączonych Irlandczyków (United Irishmen), stracony w kilka lat po klęsce pod Vinegar-Hill (1798).

Wschodzi ranek z różanej świetlicy...
— Stanął Emmet u stóp szubienicy.
Stanął Emmet, pojrzał się do świata...
Niema przy nim ni druha ni brata.

— Hej, bratowie, hej, wy szczere druhy,
Jak świat pusty bez was! Jaki głuchy!
Niemasz, komu ścisnąłbym prawicę,
Gdy mi przyszło iść na szubienicę.

Stanął Emmet, pojrzał się po niebie:
— Ziemio — Matko, ginę — syn — za ciebie...
Za twą wolnośc, mój Narodzie, ginę,
Sam, samotny w ostatnią godzinę!

. . . .

Głucho bęben złowieszczy uderza:
— Robert Emmet, odmawiaj pacierza!
Z głuchym ziemię kopają łoskotem:
— Robert Emmet, żegnaj się z żywotem!

Podniósł Emmet płonące źrenice
Na wysoką, czarną szubienicę...
— O Irlandyo! Tyś moją modlitwą,
Ty pacierzem przed ostatnią bitwą! —

Jakiś gwałt mu rozpręża ramiona...
— Lud mój chciałbym przycisnąć do łona...
Chciałbym żegnać... Chciałbym raz ostatni
Czuć na ustach pocałunek bratni!—

I pochylił swą tragiczną głowę.
— Przez te rany... Przez te Chrystusowe...
I ostatnim pocałunkiem brata
Ucałował straszne lico kata.

. . . .

Głucho bęben złowieszczy uderza.
Robert Emmet odmówił pacierza.
Z głuchym ziemia jęknęła łoskotem.
Robert Emmet żegna się z żywotem.

STEFAN ŻEROMSKI

Bandos

W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które sączy się zaskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach-smętniskach, gdzie się korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje—hoduje się dola bandosa. Siedzi przykucnięta w bróździe, pośród zczerniałej ziemniaczanej naci, kędyś pod jałowczykiem, kędyś pod kępą łopianu, na wąskim wygonie, między owsem a żytkiem—jako pasturka, łachmanami od oka ludzkiego okryta, workiem od dżdżu. Tuła się wzdłuż gościńców, po rowach kurzem przydętych, wyciągając ku bryczkom przejeżdżającym obdartą chłopczyńską czapczynę. W kłębuszek skręca się z choróbsk tajemnych po zapieckach i werkach izb-szkarlatynek. Patrzy długo z za przepalonych szyb czworacznych na przejeżdżających paniczów wielkiemi, strasznemi, ojczyźnianemi oczami. Płynie w białej trumience, pomalowanej lubryką, pod rosę święconej wody u kościelnego proga i na ugór cmentarny.

Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednowek, wychodzi w dal—za Pilicę-rzekę, za Wisłę-rzekę, „w pszenne kraje". W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła, kudłata babka, koślawiec, niemowa, lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę. Bywa wtedy, że bezsilni ludzie żywią się mąką z kory olszowej w żarnach mielonej, mleczem ziarna ledwie

okwitłego żyta, garsteczką kaszy mannianej o białej rosie osmykniętej na cudzej łące. Ciemne chaty z nisko nawisłym czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciądz bukowy, zostają same.

Drożyny od gościńca do drzwi prowadzące zarastają trawą. Ze wsi ucieka ostatni towarzysz schroniska ludzkiego — wróbel. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies.

A za Pilicą, za Wisłą, w „pszennym kraju" słońce pali bandosa grzbiet zgięty od świtu do wieczora. Twardy jest trud całodzienny na skwarze w pańskiem polu!

Jak mgnienie oka krótki jest sen w parną noc letnią. Od rannej zorzy po sierpem zajętem zbożu rozlega się surowa i wrzaskliwa bandoska pieśń:

„Dobrze temu, dobrze, kto kómu łeb odrze,
Jesce temu lepiéj, kto kogo oślepi"...

Lał się bandosa pot cuchnący w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo, okrywał brud i osaczała ze wszech stron tajemnicza choroba, żeby pańskie dzieciątko jaśnie świeciło zdrowem ciałkiem i galanto uczesanemi włoskami. Wyklęczały jego kolana żłobowiny głębokie w kamiennych posadzkach wysokich kościołów, wycałowały jego usta jakoby nowe rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spozierać na cichy swój lud, a pięknego pogładzać wąsa.

Taka jest przez wieki nasza rzecz-pospolita.

Płakał ongi, przed wieloma wiekami, nad żałosną dolą żeńców polski poeta:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego,
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu by się zdało,
Żebyś ty, o słoneczko, o północy wstało"...

A czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dolę swoją w kamieniu wyklęczy? Czy ją wycałuje z Pana Jezusowych nóg gwoździami przebitych? Czy ją wydepce opuchniętemi nogami z nieskończonych kolein drogi między swoją czarną chatą a dalekim pszennym krajem? Czy też ją ostrą kosą wykosi z wonnie szumiących traw, czy

ją kiedy wyżnie sierpem pracowitym z jarego zboża świętej ojczyzny? Kiedyż ustanie skarga żeńców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenia? Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostałemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej nie mój ani twój, ale nasz, ojczysty?...

„Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleść i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego".

Zdarzyło się onego czasu, że daleko—daleko szedł bitymi gościńcami samotny wiejski chłopczyna. Wracał do domu w kieleckie góry. Pojęli go byli ze sobą ludzie we światy, bo w chałupie, zawartej na głucho, nie miał przy kim pozostać, Żął we żniwa z innymi, wiązał, dźwigał snopki i układał we sterty. Napatrzył się pięknych paniczów harcujących ścierniskami na spasionych kucach, nadziwował się pannom, bokiem dosiadającym dzikiego ogiera, naślepiał się na pałac wielkookienny. Śpiewał panom podchlebne pieśni w dożynki...

A gdy ludzie po żniwach wracali i uszli już mil wiele, rozpuchła mu bardzo w kostce prawa noga. Szedł, utykając, z wielkim pośpiechem, żeby nadążyć. Bardzo się ludziom śpieszyło do chałup, więc go z jednego noclegu odeszli. Wlókł się tedy sam daleką, obcą drogą...

A jechał oną drogą na siwym koniku panicz wesoły. Zobaczył bandosa, siedzącego nad rowem, jak se głowę układał na pościeli z pryzmy kamieni szosowych, i z ciekawości zlazł ze swego konika. Zagadał. Popatrzał na nogę spuchniętą, wejrzał w tajemnicę oczu zamglonych... Przepytał się, jak i co. Poczęli obadwaj gwarzyć pomiędzy sobą. Gdy konik siwy szczypał trawkę przykurzoną, wszystko paniczowi bandos rozpowiedział,—o długości dnia, gdy się z sierpem na klęczkach idzie przez nieskończoną niwę, o głodzie przedwieczerza i dobrotliwych zachodach, o smaku niewysłowionym zimnej wody we dzbanie,-- o bardzo krótkiej nocy i świcie niezbłaganym,— o chłodzie rosy porannej, przez którą stopy brną z noclegowiska na niwę, — o rozpuchniętej nodze i zabijającej duszę długości nieznanej drogi, — o zimowem wzdychaniu podstrzesznem, o komorniczem tęsknieniu ku onej pracy przednowkowej na znojnem pańskiem polu — i o dróżce zarośniętej pod progiem czarnej chałupy...

Zaszkliły się paniczkowe jasne oczy i sposępniała wesoła twarz. Siadł obok, tak samo na pościeli z kamieni, głowinę położył i słuchał.

Tak się ta wtedy na wieki wieczne rozmówili bandos z paniczem. Coś sobie szeptaną mową zaprzysięgli wraz. Aż do zgonu.

Panicz wziął w swe piersi serce bandosa, a swoje serce w jego piersi wcielił.

Poczuł snać w sobie wtedy po dziadach pradziadach ocknione widziadło, wyklętą, wykadzoną zmorę: – duszę rycerza. Krwawą bandosa dolę przypiął sobie do lewego boku, jak zardzewiały, w ziemi wykopany brzeszczot mieczowy.

Rąbać nim począł z ramienia ślepemi ciosami mrok zagęstniały i zdawna narosłą przemoc w ojczyźnie.

Wtrącał się wszędzie, był wszędzie, poeta, błędny don-kichot, Rycerz-Bandos. Deptał strudzonemi nogami wszystkie gościńce idejów, swoją własną żadnej nazwać nie mogąc, bo oczy niedościgła porywała dal, a stopy palił sandał z płomienia.

Wdzierał się na niedościgłe percie wyklętych marzeń, na strome w skałach kute stopnie poznawania, na śmiesznie zawrotne urwiska złudzeń potęgi.

Nad nim i nad bandosem jedna była dola i jedno niebo. Ścigał ich tęgi, zdrowy śmiech, urąganie, wyzwiska, potwarze i wszystkie groźby, od najprostszej, najpoczciwszej, międzyzdrowaśkowej, aż do bardzo złożonej, nowoczesnej, niemej, mówiącej jedynie połyskiem z zanadrza noża skrytobójcy.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI

ZGASŁ W 38 ROKU ŻYCIA, DNIA 23 LISTOPADA ROKU 1907

GŁOS I. Upadła nam korona,
I duch na świecie zgasł.
GŁOS II. Kto ubył?
GŁOS I. Duch Heliona...
J. Słowacki

Nie umarł, nie odszedł – ON – potężny
— bo nie ma mocy Śmierć nad twórcami nieśmiertelności —

Był pośród nas, mówił do nas, bolał nad nami — tu, na tej ziemi, którą „ukochał szałem", ponad którą był „niesion skrzydłami z płomieniem w licach"...

Wsłuchajcie się w przepaście dusz —
Słyszycie gromy?
To mówi ON — wiekuisty —
To ON — cherubim zbuntowany — siecze płomienistym koncerzem Edenu zawarte wrota —
by Naród wszedł siłą.

Wpatrzcie się w przepaście dusz —
Widzicie błyskawice i skry, jak słońca, wielkie?
To ON — ON SŁOWEM zapala Duchy — — coraz więcej gore Duchów-Pochodni —

Jakoż mówicie: — Zmarł? — —
Oto przeczy wam Zygmunt krzyczący mową spiżu:
„Konrad! Helion! Konrad!
Król - Duch!
Jenże Był — Jest — Będzie!
Ponad łzy, ponad ból mnogi śpiewajcie hymnus tryumfu:
— Hosanna! ON żywie w nas — — —
„Zarwijcie serc! —
I czyny wasze strójcie na JEGO i mój ton!
Potęgo — wstań!

J. A.

IGNACY MATUSZEWSKI

Kiedy Słowacki stał się mistykiem?

I.

Utarte mniemanie, że wpływ Towiańskiego na Mickiewicza i Słowackiego zepchnął ich z drogi, po której szli przedtem i rzucił w czarującą otchłań mistycznego mesyanizmu, nie wytrzymuje krytyki.

Niewątpliwie Towiański odegrał, dzięki swej energii i wytrwałości, rolę czynnika, skupiającego i krystalizującego rozlane wśród emigracyi żywioły mistyczne w jedną całość, ale im głębiej wnikamy w charakter uczuć i poglądów naszych wielkich Towiańczyków, tem wyraźniej dostrzegamy, że nie byli to ludzie takiej miary, żeby nawet najdzielniejszy propagator zdołał ich przerobić do gruntu, narzucić im swoje przekonania i zaciągnąć pod swój sztandar.

Jeżeli Mickiewicz i Słowacki stali się mistykami i połączyli na czas dłuższy lub krótszy z Towiańskim, to nie tyle dla tego, że „mistrz Andrzej" ich zniewolił, ile dla tego, że posiadali w duszy swojej pierwiastki pokrewne doktrynom, głoszonym przez niego. Towiański był raczej organizatorem, niż twórcą ruchu zwanego „towianizmem".

Co do Mickiewicza, to już dawno zauważono, że myśli i marzenia, wygłoszone w III części „Dziadów", wydanej w roku 1833, zawierają niejako *in nuce* znaczną część mistycznej doktryny Towiańskiego, który, jak się zdaje, jeżeli nie zaczerpnął wielu pomysłów z „Improwizacyi" Konrada i wizyi ks. Piotra, to napewno przystosowywał do nich swoje własne poglądy, chcąc w ten sposób zjednać Mickiewicza dla „sprawy".

Bardzo przekonywająco wykazał to ostatnio Artur Górski w pięknej i głębokiej rozprawie swojej pod tytułem „Monsalwat" (1908), a także

Artur Śliwiński w cennej pracy pod tytułem „Mickiewicz jako polityk" (1908).

O źródłach mistyki Słowackiego pisał Chmielowski w studyum p. t. „Juliusz Słowacki Towiańczykiem" [1]); wzmiankował Małecki w znanej swojej monografii o Słowackim, nie mówiąc o wielu innych. Niżej podpisany poświęcił także specyalne studyum porównawcze mistycznym poglądom Słowackiego [2]).

We wszystkich tych pracach jednak uwzględniano przeważnie wpływy zewnętrzne, a więc: ogólny nastrój chwili, znajomość takich czy innych dzieł z dziedziny mistyki religijnej i filozoficznej, a przedewszystkiem apostolsko-agitacyjną działalność Towiańskiego.

Tymczasem, wczytując się uważnie w utwory Słowackiego, wydane znacznie wcześniej, nim autor „Balladyny" zetknął się z „mistrzem", można znaleść wyraźne ślady nietylko zajęcia się kwestyami mistycznemi, ale nawet pewnego zarysu doktryny metafizycznej, którą poeta ujął w całokształt w dziełach, noszących tytuł „Genezis z Ducha", „List do J. N. Rembowskiego", „Wykład nauki", a którą wcielił w postacie i sytuacye wielu poematów z ostatniej doby swojej twórczości, jako to: „Ksiądz Marek", „Sen srebrny Salomei", „Samuel Zborowski", „Król-Duch", nie licząc mnóstwa drobniejszych liryk oraz niewykończonych fragmentów (Teogonia, Z dziejów Nowogrodu, Zawisza Czarny i t. d.).

Jeszcze w r. 1841 Słowacki, interesując się żywo ruchem towiańskim, zachowywał się względem niego, jak świadczy korespondencya z Krasińskim, z pewną oględnością.

W r. 1842 wstąpił już poeta do organizacyi mistycznej; w sierpniu tegoż roku podpisał znany protest przeciwko wydaleniu „mistrza" Andrzeja z granic Francyi.

Po roku mniejwięcej Słowacki wystąpił już z grona, dla tego— jak sam mówi—że oprócz „duchowej strony zaczyna grać w kole struna polityczna", na której „ton" poeta nie mógł i nie chciał się zgodzić. Zwłaszcza zniechęcił go jeden akt, oburzający sumienie i poczucie patryotyczne wieszcza. Przeciwko temu aktowi założył Słowacki pro-

---

[1]) Piotr Chmielowski: „Studya i szkice literatury Polskiej", Kraków, 1886.

[2]) Ign. Matuszewski: „Swoi i obcy" rozdz. p. t. Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu. Wydanie II, 1903. Por. także: „Słowacki i nowa sztuka", wydanie II, 1904.

test, wyrażając się w nim, że „dążność koła", pomimo „veto i zaprzeczenia z ducha" poety „doszła do granic hańby i upodlenia". Szło tu, jak wiadomo, o tak zwaną sprawę rosyjską, na którą autor „Króla-Ducha" zapatrywał się inaczej, niż koło Towiańczyków.

Prócz politycznych względów, odegrała tu niemałą rolę i niechęć do więzów, jakie na silną indywidualność poety nakładała organizacya sekciarska. „Duch mój — powiada on — przywalony był wnętrznem cierpieniem i tęsknotą za dawną *osobistą odpowiedzialnością* — za dawnem sumieniem".

Co do ducha, panującego w kole, to Słowacki przyznaje „że ten czysty jest — i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już *przyprowadzacie do form — już obumiera*".

Uznawał więc poeta wartość mistycznych poglądów Towianizmu, ale nie chciał być narzędziem w rękach partyi czy sekty, pragnął rozwijać ducha swojego samoistnie, bez kontroli i rozkazów organizacyi która, jak każda organizacya ludzka, zaczynała, chcąc utrwalić swoje, istnienie i rozszerzyć działalność ziemską, praktyczną, wchodzić na drogę kompromisów i używać względem „braci" środków przymusu.

Tak się przedstawia w krótkości stosunek Słowackiego do Towianizmu.

Nie godząc się na pewne czyny „koła" i na przemoc większości nad jednostką, Słowacki sympatyzował z samą treścią mistyczną doktryny i nie walczył z nią, lecz snuł dalej samodzielnie przędzę myśli pokrewnych towianizmowi, snuł nie dlatego jednak, żeby go Towiański nawrócił, ale dlatego, że już oddawna żywił w głębi duszy podobne marzenia i ujmował całokształt wszechświata w ramy analogicznego systematu metafizycznego.

Jak wiadomo, podstawę poglądów mistycznych Słowackiego stanowi połączenie panteizmu z indywidualizmem i chrystyanizmu z wiarą w metempsychozę, czyli przechodzenie dusz, które poeta przyznaje nawet najniższym tworom przyrody.

Metempsychoza stanowi motor ewolucyi nietylko człowieczeństwa, ale i całego kosmosu.

Pierwsze ustępy „Genezis z Ducha" charakteryzują dosadnie i jasno istotę poglądów metafizyczno-mistycznych Słowackiego.

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mię, Boże, abym przypomniał *wiekowe dzieje ducha* mojego, a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, *stwórcą widzialności...*

„Albowiem Duch mój przed począjkiem Stworzenia był w słowie, a Słowo było w Tobie—*a jam był w słowie.*

„A my duchy *zażądaliśmy kształtów* i natychmiast *widzialnymi* uczyniłeś nas, Panie, pozwoliwszy, iżeśmy *sami z siebie, z woli naszej* i z miłości naszej wywiedli pierwsze kształty".

Duchy indywidualne, tkwiące w łonie Bóstwa-Absolutu, wcielają się w materyę, która, doskonaląc się ciągle, idzie z powrotem ciężką, ale pewną drogą do źródła swego pierwotnego, boskiego pochodzenia.

„My, którzyśmy uczuli, że *materya* jest *dzieckiem ducha* naszego, a chociaż w kamień zamieniona, musi być wszakże przez *ducha naszego wyświęcona* i *Bogu duchowi oddana*" (List do J. N. Rembowskiego).

Cytaty przytoczone wyżej pochodzą z prac stworzonych pomiędzy rokiem 1842—1849. A tymczasem już w „Godzinie myśli", którą poeta napisał prawdopodobnie w r. 1832, a wydał w 1833, a więc na dziesięć lat prawie przed poznaniem się z Towiańskim, spotykamy ustęp, w którym Słowacki, opowiadając o swoim pożyciu duchowem z Ludwikiem Szpitznaglem, kreśli obraz świata, jaki sobie wyobrażali obaj przyjaciele:

> Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
> W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
> Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
> *Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,*
> I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
> Wiecznie krąży. *A dusza z iskry urodzona*
> *Różnem życiem przez wieki rozkwita i kona*
> Przez długie wieki, biorąc *kształty różnych tworów.*
> *W kwiecie* jest *duszą woni* i treścią kolorów,
> *W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.*
> *Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,*
> *W doskonalszym cochwila rozkwitając ciele.*
> Człowiek się silną myślą w *Anioła rozwinie,*
> Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
> I będzie *częścią Boga* na żywiołów tronie.

Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
Ziemskiemi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.
I co dnia z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina,
Każda się w kształty ziemskie krysztali i ścina.

. . . .

Gdyby zacytowany wyjątek z „Godziny myśli" nie wiązał się treścią z późniejszemi pismami Słowackiego, możnaby mniemać, że jestto tylko odbicie jakichś przelotnych rojeń o ustroju wszechświata, odpowiadające nastrojowi umysłu młodzieńca, który „wśród litewskiego grodu w ciemnej szkolnej sali" zastanawiał się wraz z umiłowanym towarzyszem nad rozmaitemi sprawami. Jeżeli jednak rozbierzemy wspomniany ustęp wiersz po wierszu, to odnajdziemy w nim wszystkie składniki, zawarte w „Genezis z Ducha" i złączonych z nią pracach mistycznych.

Mamy tam wyraźnie, choć tylko szkicowo, zarysowany proces inwolucyi i ewolucyi ducha, który, już zindywidualizowany, spływa z „Pana Boga" w ciemną otchłań doczesnego bytu i tam się „w kształty ziemskie krysztali i ścina", ale nie nazawsze, gdyż — jak pisze poeta— „dusza z iskry urodzona, *różnem* życiem przez wieki rozkwita i kona; przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów... raz wstępnym pchnięta ruchem ciągle w Boga płynie, w doskonalszem cochwila rozkwitając ciele".

Mamy tu więc i metempsychozę, która w rezultacie doprowadzi do połączenia się ducha ludzkiego z boskim: „Człowiek się silną myślą w Anioła rozwinie; ten Anioł zachwyceniem w światło się rozleje i będzie *częścią* Boga na żywiołów tronie".

To samo, tylko obrobione szerzej i bardziej szczegółowo, głosi poeta w pismach mistycznych z ostatniej doby swego żywota.

Nie tak jasno, ale dla wtajemniczonego w istotę mistyki Słowackiego, zupełnie zrozumiale, brzmi następujący ustęp z „Anhellego":

„Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że *jednych dusze* idą w *słońce*, a drugie dusze oddalają się od słońca na *ciemne gwiazdy*, lecz nie zrozumiecie mnie!

„Powiedziałbym, dlaczego żyjecie i dlaczego się *rodzą miliony dusz nowych*, i na jaki cel dane jest ciało, lecz nie pojmiecie mnie!

„Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej".

Mglistość tych zdań pochodzi stąd, że wygłasza je mędrzec, Szaman, do zgrai wygnańców, która niedojrzała jeszcze do zrozumienia zagadek życia i śmierci. Zresztą cały utwór trzymany jest rozmyślnie przez poetę w tonie tajemniczym, pełnym niedomówień i niejasnych aluzyj do wypadków z życia własnego i życia narodu, oraz pojedyńczych jego przedstawicieli.

Słowacki uczynił to świadomie, żeby nadać „Anhellemu" specyalny i najwłaściwszy do założenia dzieła ton i styl. Sam autor wyznaje w niedawno opublikowanym liście do Gaszyńskiego [1]) z dnia 22 maja 1839 r., że: „Anhelli potrzebuje komentarza, jak Dante, albowiem pisany jest zwięźle i z wielką ekonomią detalów — kto więc nie popracuje imaginacyą własną nad każdym frazesem Anhellego, temu wszystko w nim będzie blade".

Ale, jeśli zestawimy przytoczone wyżej słowa Szamana z odpowiednimi ustępami „Genezis z Ducha", tożsamość poglądu mistycznego na świat i życie w obu dziełach sama rzuci się w oczy.

Kiedy duchy, istniejące w Słowie, zażądały kształtów, niewszystkie poszły jedną drogą, i Bóg podzielił je na grupy, nie *według swojej*, lecz według *ich woli*.

„Duchy więc, które *wybrały światło*, odłączyłeś (Panie) od duchów, które obrały objawienie się w *ciemności*, i tamte na *słońcach* i *gwiazdach*, a te na *ziemiach* i *księżycach* rozpoczęły pracę form, czyli ewolucyę.

Ten ustęp tłumaczy nam, jak pojmował Słowacki pierwsze z zacytowanych zdań Szamana.

Tożsamo zresztą spotykamy już i w „Godzinie Myśli", gdzie poeta mówi o „dwóch łańcuchach, zbitych w światło u góry, a zlanych spodem w ciemność"; ogniwa tych łańcuchów „jak szczeble wschodów połamane, wiodą w *światłość* idące albo w *ciemność* duchy".

Niema wątpliwości, że przytoczone wyżej cytaty z trzech różnych prac Słowackiego, napisanych w różnych epokach jego życia, wyrażają odmiennymi wyrazami jedną i tęż samą myśl.

---

[1]) List opublikował Leopold Méyet w Gazecie Lwowskiej, 1902, N. 119—122.

Dwa następne z przytoczonych zdań Szamana łączą się ściśle z mistycznemi doktrynami inwolucyi, ewolucyi, oraz metempsychozy, o których wzmiankowałem uprzednio, a które rozebrałem szerzej w książce mojej p. t. „Swoi i obcy“.

Jak wiadomo „Anhelli“ był napisany, jeżeli nie w roku 1835, to najpóźniej 1837—1838, a wydany 10 sierpnia 1838 roku, a więc przed zetknięciem się z Towiańskim.



JAN LEMAŃSKI

Polonez

Jakaż jest najmilsza teza
W naszych win i kar nawale?
Tany, tany, bale, bale...
Więc zatańczmy poloneza.

Hej panowie, kto nie stary!
Nim kar i win nawał minie,
Dalej, dalej ku dziewczynie,
Stajmy w pary, w pary, w pary!

Grają skrzypce, basy, flety,
Bębny, trąby i oboje.
Hej, za swoją łap dziewoję
I rób... i rób... piruety!

Kto za życiem życia szuka,
Znajdzie co?—złamany szeląg.
Kiep ten, co się życia przeląkł,
Do kaduka, do kaduka!

Już nieboszczyk twierdzi Homer
(Niech mu ziemia będzie lekką):
Że szczęśliwszy jest daleko
Żywy pies, niż bóg, co pomerł.

Z poumarłych już nie wskrzesa,
Czyj raz trup przysypią proszkiem:
Zgnije, chociaż byłby bożkiem,
Z nazwą Ach... Ach... Achillesa.

Od frasunków serce wygój!
Śmiało staj na życia szaniec!
Patrz dziewczyna woła w taniec,
Tańcz więc, hasaj i podryguj!

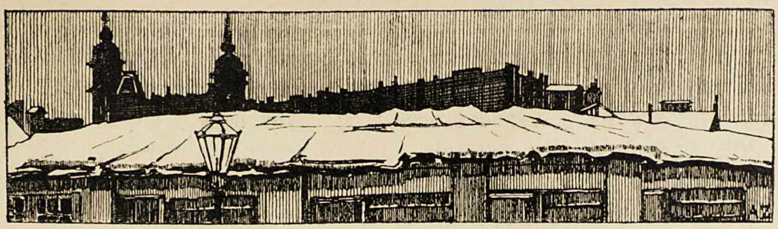
W foljałach, w księgach szpera,
W ascetyzmach kiśnie, kiśnie,
A tymczasem czas mu zżera
Lica-róże, usta-wiśnie.

Nauczony, ale starczy,
Na dziewczęta patrzy zdala.
Trala... lala... trala... lala...
Choćby chciał, lecz sił nie starczy.

Ubił, ubił żądzom tamę
I tryb życia wiódł niewinny,
Aż mu inny, inny, inny
Ukochaną porwał damę.

Hej więc, póki służy krasa,
Prze... hasuj, prze... hasuj życie,
I nie żałuj przy kobiécie...
Pięt nie żałuj, ni obcasa!

Chwytaj, co ci dola winna
I w tan z damą staj miłośnie.
Dam nie żałuj: patrz, jak rośnie
Coraz inna, inna, inna!



HENRYK STAP

Pierwsze błyski

Wicher swobody, który przeleciał nad krajem, rozwiał na chwilę gęste mgły, unoszące się nad przesmutnemi polami naszemi, i porozrzucał wszędy nowe ziarna nadziei. Rozpaliła się energia, rozkwitło słowo. Stąd zaś poszedł niejeden czyn i, choć znikł, nie zginął bezowocnie. Masowe poruszenia umysłów, jak rozkołysane serca tysięcy dzwonów, nie ucichają nagle i bez skutku. Pozostają echa oddalające się i wracające, pozostają pragnienia. A w każdej duszy ludzkiej, w najgłębszych jej pokładach, tkwią utajone zarodzie sił. Gdy na nie w czas dobry padnie iskra, rozżarza tam płomyk niepokojący, zmuszający do wydarcia z siebie wcześniej lub później dążącej do wyzwolenia potęgi. Często jedna chwila wystarcza do uświadomienia sobie istniejącego już wewnętrznego żaru, który — stłumiony pozornie — tem silniej wybuchnąć musi. Toteż osławiona słusznie lub niesłusznie ospałość t. zw. prowincyi naszej minęła bezpowrotnie, mimo nadarzające się znowu dość częste oznaki przeciwne, których jednakże niemożna już uważać za stałą cechę. Mówiąc to, nie twierdzę bynajmniej, że stan obecny jest doskonały, że niczego więcej pragnąć nie należy. Nie. Ale zauważyć trzeba, że nietylko na prowincyi niewszyscy pracują: wszędzie i zawsze orze rolę pod nowy zasiew tylko pewien kontyngiens pracowników. Jeżeli ten nawet zmniejsza się widocznie, wina to nie prowincyi i jej ludzi, lecz silniejszych od nich okoliczności zewnętrznych. Idzie o to, aby, gdy te przeminą, nowe warunki zastały nieleniące się kadry. Że tak będzie, tego dowodzi historya paru lat ubiegłych.

Poprzednie życie prowincyi było wprost straszne. Bezecny strach plugawił dusze. W zajęciach prywatnych prym trzymały wint, plotki

i taniec, występy zaś publiczne ograniczały się do uczestnictwa w stowarzyszeniach dobroczynnych i strażach ogniowych, do urządzania balów, przedstawień amatorskich lub koncertów na wpisy szkolne, do strojenia ołtarzów na przyjęcie procesyi w jakie święto i t. p. Wszakże zgniliznę tego życia odczuwano — nie powszechnie, niestety, niemniej jednak silnie. Bo gdy nadarzyła się możność, nowe życie buchnęło z żywiołową, nadzwyczajną mocą.

Nastąpił okres ujawniania się niezmordowanych pracowników. Częstochowa i Sosnowiec zasłynęły z cotygodniowych odczytów (po dwa w dni niedzielne) z pomocą sił początkowo miejscowych, później i warszawskich. Niebawem podążył po tej drodze Lublin, dystansując nawet inne miasta. W błyskawicowo szybkim czasie zawrzał ruch niezmierny. Powstaje niebywała ilość pism prowicyonalnych, o jakiej tak niedawno jeszcze nie śmiałby marzyć najdalej idący optymista. Niektóre z nich doborem treści, duchem je ożywiającym, zapałem i starannością bodaj że przewyższają niejedno z czasopism stołecznych. Ilościowo, ku ogólnemu zdumieniu, przeważają—*o, horror!*—pisma liberalne i postępowe, jak to wykazywał w zgasłym administracyjnie „Tygodniu Podlaskim“ d-r St. Wąsowski. Powstaje nawet—o, drugi *horror!*—chłopskie pismo: „Siewba“... Rodzą się liczne stowarzyszenia oświatowe. Mnożą się koła Macierzy, oddziały Towarzystwa Kultury Polskiej, uniwersytety ludowe ziem poszczególnych; w lubelskiem pracuje żarliwie „Światło“. Rosną liczebnie i jakościowo szkoły początkowe i średnie, ochrony; tworzą się miejscowe wykłady systematyczne, kursy dla analfabetów, biblioteki i czytelnie, domy ludowe... Powstają liczne związki zawodowe, stowarzyszenia współdzielcze, kooperatywy, towarzystwa rolnicze, włościańskie kółka rolnicze imienia Staszica...

Gdyby owo życie szło niepowstrzymanie naprzód, w czasie krótkim nie mielibyśmy analfabetów, stępilibyśmy nędzę, kraj zaś zasłynąłby doborem dzielnych obywateli. Ale tak nadzwyczajna poprawa nie może się stać odrazu. Nie mówiąc już o zmienionych okolicznościach zewnętrznych, które przeminąć muszą, działalność tak żywo rozbudzona miała wiele niedomagań jawnych i ukrytych, które ustąpiłyby niewątpliwie z biegiem czasu, ale, będąc już naszą właściwością, tem silniej tamowały (i tamują) rozwój naszej pracy.

Zaczęły się spory, intrygi, insynuacye, bojkoty. Jednakże doszliśmy do częściowego zrozumienia sytuacyi, tak np. koła Macierzy gdzieniegdzie pracowały łącznie z oddziałami Towarzystwa Kultury: tu obywatelskość brała górę nad stronniczością partyjną. Są to sprawy powszechnie znane—dziś nie czas na ich roztrząsanie. Ale pojawił się wróg i kół i oddziałów, i bibliotek, i kursów, i wszelkiego „Światła". A zaczął walić w rozpoczętą mozolnie budowę mocnym taranem odezw biskupich i ambony, który godził nietylko w „bezbożników", „socyalistów", „postępowców" i innych tego gatunku zbrodniarzy, ale nawet w „panów sytuacyi"— ludzi większości, opatrzonych znaczkiem n.-d.

Odezwy mówiły o stowarzyszeniach, ambony grzmiały wyzwiskami imiennemi. Ten rodzaj walki gdzieniegdzie doprowadził do kompromisów, osłabł więc na mównicy, lecz kampania wre dalej w czasopismach kleru oraz w odłamie naszej (ku wstydowi) świeckiej prasy gadzinowej.

Niemniej ciężkie było i jest trwanie czasopism postępowych. Te, jako usiłujące oświetlać wszelkie zjawiska społeczne niezależnie od możnych tego świata, były i są usilnie zwalczane zarówno przez kler, jak przez rzeczonych ludzi większości. Dwa z nich: „Nowiny Radomskie" i „Echa Kieleckie", doskonale redagowane, padły w walce pod ciosami bojkotu, co się nazywa brakiem poparcia; trzeci: „Tydzień Podlaski", zgaszony, jak wspomniano powyżej, administracyjnie, nie zmartwychwstał już w żadnej formie, co się nazywa również brakiem poparcia. Wszędzie tutaj działała i działa plugawa broń pokątnego oszczerstwa i baśni w rodzaju modnych dziś: „kierunku antynarodowego", „szerzenia anarchii", „żydowskich pieniędzy" i t. p.

Trzeba umieć znosić gorycz, ale trzeba też uzbrajać się do walki.

Najważniejszym środkiem obrony byłoby zrzeszenie się sił niezależnych. Poczucie to istniało, organizacya jednak nie doszła do skutku. Tak, z zapoczątkowania Andrzeja Niemojewskiego, czynione były rokowania pomiędzy uniwersytetami ludowymi. Szło o połączenie sił prowincyonalnych w jedność, o utworzenie zalegalizowanego stowarzyszenia z centralą w Warszawie, któraby rozsyłała prelegientów, systematyzowała—wespół z dobranym komitetem naukowym—wykłady, starała się o dostarczanie pomocy naukowych etc. Poza walką z żywiołami wstecz-

nymi, stowarzyszenie takie, grupując działaczów oświatowych, przyniosłoby krcjowi nieobliczone korzyści społeczne i kulturalne. Gdyby się tak było stało, możeby nie narzekano dziś na znaczne zmniejszenie się frekwencyi odczytowej i nie szukanoby przyczyn tego smutnego objawu.

Również nie doszły do skutku peryodyczne zjazdy redaktorów pism postępowych, które mogły wytworzyć tyle pożądane zrzeszenie się prowincyonalnych sił publicystycznych. Z inicyatywy kierownika „Ech Piotrkowskich“, p. Kazimierza Rudnickiego, odbył się tylko jeden taki zjazd w Warszawie z udziałem przedstawicieli dziewięciu pism, i na tem skończyła się tymczasem praca „skupiania i organizowania postępowych żywiołów całego kraju“, której tak gorąco pragnął początkodawca.

Tymczasem. Bo przypuszczać się godzi, że zasiane ziarna wzejdą, gdy przyjdzie czas sposobniejszy. Myślę, że nic nie ginie bezpłodnie, a z powyższego jest widoczne, iż dobrej woli i energii czynnej tai się dużo. Tę zaś wydobyć na jaśnię najsnadniej można umiejętnie zorganizowaną pracą. Przedewszystkiem więc nie należy pogrzebać myśli o zrzeszeniu się powszechnem.

Życie prowincyi, silnie oddzielone od życia Warszawy, wytworzyło tam pewną niechęć do ostatniej, mimo płynące skądinąd całe jej ukochanie. Niechęć ta wyraża się głównie w obawie jakiejś supremacyi stołecznej nad resztą kraju. Może nawet wskutek tej obawy właśnie nie doszła do skutku ogólna organizacya odczytowa. Oczywiście, obawa ta jest płonna, ale jest faktem. Zawiniła tu znacznie prasa warszawska, traktująca prowincyę, jako coś niezupełnego, dorywczo, przygodnie. Przez luźne korespondencye nie stworzy się stałego kontaktu. Wiadomości o życiu prowincyi są najbardziej skąpe: nie wiemy nic o stanie i najpilniejszych potrzebach prowincyi, nie znajdujemy nigdzie oceny czy to jakich działań, czy prasy prowincyonalnej, odgradzamy się — jednem słowem — od kraju murem chińskim. Dopiero w roku bieżącym „Nowa Gazeta“ uczyniła próbę wprowadzenia stałego działu p. t. „Echa prowincyonalne“, w których p. Eug. Sokołowski z lubelskiego rzuca uwagi w kwestyi zmniejszenia się frekwencyi odczytów, podniesionej w piśmie wspomnianem przez Leona Rygiera i B. Gorczyńskiego.

Początek więc zrobiono, należy jeno, nie zwłócząc, iść dalej w tym kierunku. Niewątpliwie przyczynić się to może do obalenia owego muru chińskiego, uniemożliwiającego wspólnotę życia i tworzącego patryotyzmy lokalne.

*

W. LIS

Z Prus i Austryi

Gdy w listopadzie 1905 r., pod wpływem wiadomości o ogłoszeniu manifestu, ustanawiającego Dumę, wybraną przez powszechne głosowanie, odbyła się w Wiedniu olbrzymia demonstrancya, domagająca się zaprowadzenia w Austryi tego, co, jak się ludziom zdawało, zostało uzyskane przez Rosyę,—wtedy miał się odezwać obecny na wiedeńskim zjeździe socyalistów austryackich członek zarządu partyi socyalno-demokratycznej Niemiec, że już od 40 lat bierze on udział w ruchu robotniczym, ale dotąd jeszcze nie udało mu się być świadkiem demonstracyi robotniczej. Od kilku dni powiedzenie to należy już do historyi: Berlin doczekał się swej demonstracyi ludowej, a można nawet powiedzieć, że jak na pierwszy występ, była ona dość okazała. Według jednych 12, według innych 30 tysięcy robotników, którzy ciągnęli w niedzielę 12 stycznia pod parlament w Berlinie, narażając się na regularne poszatkowanie głów szablami policyjnemi, stanowi coprawda tylko drobną cząstkę ogółu głosujących na kandydatów socyalistycznych (uzyskali oni przed rokiem 250,000 głosów z pomiędzy 492,000 uprawnionych do głosowania), ale fakt ten redukuje tylko demonstracyę niedzielną do jej właściwych rozmiarów, nie odbierając jej bynajmniej znaczenia. Pamiętajmy, że wcale nie tak dawne są czasy, gdy bez najmniejszego skutku nawoływał do demonstracyj ulicznych Bernstein (rewizyonista i członek tamecznej frakcyi umiarkowanej), że gdy przed paru laty odbyła się w „republice“ Hamburskiej demonstracya przeciwko obcięciu prawa głosowania do sejmu, i lud Hamburski dość niegrzecznie zachowywał się przy tej sposobności wobec władz oraz gmachów publicznych, to organy partyjne uznały za właściwe skarcić go za to surowo, że obcięcie prawa wyborczego, ba, uniemożebnienie przedstawicielom robotniczym dostania sią do sejmu saskiego nie spotkało się z żadnym energiczniejszym protestem, oprócz stereotypowych uchwał, stano-

wiących niedzielną rozrywkę robotnika niemieckiego. I po tem wszystkiem widzimy teraz akcyę zgóry uplanowaną, zatem wiadomą władzom, skazaną na spotkanie się z zaciętym i nieubłaganym oporem ze strony policyi (która w państwie niemieckiem jest procentowo najliczniejsza z całej Europy), na rąbanie szablami i tratowanie kopytami końskiemi.

Nie była to zatem rewolucya (ani przez małe, ani przez duże *r*, używając nomenklatury warszawskiej), ale pierwsze wystąpienie świadczące, że lud państwa pruskiego naprawdę zdecydowany jest starać się o zdobycie wpływu na sprawy publiczne i nie chce dłużej znosić systemu wyborczego, który sam Bismark ze zwykłą sobie brutalną szczerością nazwał kiedyś „najhaniebniejszym“.

Ciekawe jest zapatrywanie na tę sprawę rewizyonistów. Wspomnieliśmy już, że dawno nawoływali oni do demonstracyj. Teraz zaś główny ich przedstawiciel, Bernstein, poddaje pod dyskusyę projekt głosowania przy przyszłych wyborach do sejmu pruskiego na kandydatów wolnomyślnych, bez względu na to, czy ostatni zobowiążą się wzamian oddawać swe głosy socyaliście tam, gdzie wolnomyślny nie ma widoków powodzenia. Żąda on zatem zaprzestania dotychczasowej polityki targów z partyami opozycyjnemi, co, jak wiadomo, nie doprowadzało do niczego; postęp niemiecki bowiem zbyt jest zgrzybiały i przegniły wewnętrznie, by mógł się zdobyć na poparcie socyalisty. Nie będę się wdawał w rozbiór tej propozycyi, zaznaczam ją tylko, gdyż charakterystyczne jest, że w niemieckiej partyi socyalistycznej można snuć takie plany, bez obawy ściągnięcia na siebie zarzutu herezyi.

Dla nikogo chyba ta kwestya sposobu wybierania posłów do sejmu pruskiego nie jest tak doniosła, jak dla nas. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że w sejmie pruskim, wybranym przez powszechne głosowanie, nigdyby nie przeszło prawo, dozwalające wywłaszczyć siłą 70,000 hektarów (140,000 morgów naszych) ziemi polskiej, jak to uchwalił w kilka dni po berlińskiej demonstracyi sejm cenzusowy. Ale zdaje się, że ostatnimi ludźmi, którzy wysnują z tej prawdy odpowiednie konsekwencye, będą członkowie berlińskiego Koła polskiego, zarówno jak i ci, którzy ich tam posłali. Nic bowiem nie zapowiada w zaborze pruskim zmiany dotychczasowej taktyki Koła. Nie zdobyło się ono na żaden silniejszy akcent, któryby świadczył, że sprawa oparcia się wywłaszczeniu rozdziera mu serce... żaden z jego członków nie zasłużył nawet na wydalenie z sali, a o obstru-

kcyi, złożeniu mandatów, czy tembardziej innych, mniej parlamentarnych środkach, ani mowy nie było.

Coprawda, nie zawsze i nie wszędzie obstrukcya uwieńczona bywa powodzeniem. Doświadczyli tego na sobie Kroaci, których posłowie usiłowali zapobiedz uchwaleniu przez sejm węgierski ugody z Austryą, chcąc w ten sposób zmusić Węgrów do odstąpienia od nowej próby zmadyaryzowania Kroacyi. Według kroackich ustaw zasadniczych (które nie mogą być zmienione bez zgody obu kontrahentów—Węgier i Kroacyi), urzędnicy tego kraju muszą być rodakami, zaś językiem państwowym jest kroacki. Otóż Węgrzy usiłują zrobić wyłom w tej zasadzie, uznając kolejarzy za urzędników państwowych (węgierskich) i narzucając im, w drodze rozporządzeń, urzędowanie w języku węgierskim. Broniąc się przeciwko temu zamachowi, posłowie kroaccy, po wyczerpaniu innych środków, chwycili się obstrukcyi, która jednak została złamaną, poczem ugoda doszła do skutku. Obstrukcya kroacka upadła głównie dzięki temu, że inne narodowości niewęgierskie, mające swe reprezentacye w parlamencie budapeszteńskim (rumuni, słowacy, serbowie), nie uznały za stosowne poprzeć Kroatów, żeby nie utracić łaski rządu austryackiego, któremu na dojściu do skutku ugody oczywiście bardzo zależało. Jest to bowiem charakterystyczne dla tych drobnych narodowości, pozbawionych tradycyj historycznych, że nie ufają one nigdy własnym siłom, ale oczekują zbawienia zzewnątrz. Dawniej zwracały tęskny wzrok na północ i oczekiwały nowego 1849 roku, dziś wierzą w pomoc rządu austryackiego i spodziewają się, że ten, niewiadomo właściwie dlaczego, da im kiedyś to, czego im zachłanność madziarska odmawia.

Bezpośredni cel obstrukcyi kroackiej nie został zatem dopięty. Ale poruszyła ona takie siły w narodzie kroackim, że i rząd węgierski nie odważył się dotąd wykonać swych zamiarów. Kwestya nie jest zatem rozstrzygnięta, tymczasem zaś w Kroacyi agitacya wzrasta do niebywałych rozmiarów, i wszyscy szykują się do mających nastąpić wyborów. Co też przytem należy zaznaczyć, to jednomyślność wszystkich partyj w sprawie konieczności zaprowadzenia powszechnego głosowania do sejmu. Wyraziła się ona między innemi w przyjęciu deputacyi socyalistycznej przez prezydenta sejmu kroackiego (po naszemu – endeka), przyczem obie te tak sprzeczne siły postanowiły zgodnie walczyć o oparcie wyborów na sprawiedliwej podstawie.

MISERICORDIA



(G) Na porządku dziennym stanęła sprawa uroczystego pogrzebu Słowackiego. Ducha jego grzebano starannie, ale bezskutecznie. Prochy można—chodzi o to, gdzie? Twórcy Króla Ducha należy się grobowiec królewski obok Mickiewicza. Podobno jednak sfery, decydujące w tej sprawie, oponują. W takim razie należy poczekać, aż śmierć ich wytruje co do nogi. Słowackiego stać na to, czas bowiem nie istnieje dla nieśmiertelnych.

(p) „Tam-tam nazywa się narzędzie w orkiestrze, które dzwon udaje"…. Stąd początek bierze powszechny w czasie i przestrzeni ród Tam-tam-skich, Tam-tam-sohnów i wszelkiego innego robactwa nieszczęsnej kuli ziemskiej, toczącego ją odwiecznie pod każdą szerokością jeograficzną. Nasza biedna ziemia szczególnie pod tym względem jest płodna. Brzękawek i udawantesów pełno na każdym kroku, bo „tam-tam jest w stanie dzwon Zygmuntów z przedziwną oddać dokładnością, waży zaś ledwo kilka funtów, i każdy dźwignie go z łatwością"… Dźwigają więc ten niewielki ciężar brzękawki i udawantesy rozmaitego kalibru z powodzeniem doczesnem. Gdy zdarzy się wypadek znamienniejszy, lecz niczem niegrożący, wypełzają ze wszystkich kryjówek i mówią: jesteśmy. Przy najmniejszem zaś niebezpieczeństwie chowają się po norach ze drżeniem. Gdy następuje antrakt, krótszy lub dłuższy, wyciągają ze skrytek kilkufuntowe swe „narzędzia" i stają się conajmniej kronikarzami, najczęściej zaś krytykami tego, czego nie widzieli, czego—widząc nawet czasem—nie rozumieli. Tam-tam-sohnowie, oczywiście, nie znoszą nad sobą żadnych wielkości. Usiłują oplwać wszystko, do czego nie dorośli. O pierwszorzędnym poecie czy działaczu, o wieszczu-wodzu, o proroku, o gieniuszu słowa czy czynu, powiedzą: „partacz", nawet nie znając jego dziełczynów i idei,—gdyż nie są w stanie zrozumieć i odczuć jego ducha-olbrzyma. Tak mrówka nie zdaje sobie sprawy z ogromu słonia, na którego patrzy napozór. Tak Mickiewicze zawsze mieli i mieć będą swoich Mostowskich i Koźmianów. Ludzie ła-

godnie usposobieni i spokojni a spokoju nigdy niesyci zowią tam-tam-ludków niezbędnymi regulatorami życia. Ludzie szczerzy, umęczeni podłością tam-tam-żywota, spragnieni sprawiedliwości, — ludzie powtarzający sobie z nękającą dusze tęsknotą: „O, Zygmuncie! słyszałem ciebie i natychmiast poznam, gdy usłyszę"...—wołają rozpacznie: „O, naga skało Tarpejska, gdzież jesteś?!

(as) Przysłowiowe plotkarstwo prowincyonalne jest bardzo niewinną rozrywką w porównaniu z plotką wielkomiejską. Warszawa, milionowe miasto, nietylko, jeśli chodzi o plotkarstwo, nie ustępuje prowincyi, ale ją znacznie przewyższa. Plotka, zrodzona na bruku Warszawy, odznacza się niezwykłą lotnością: z szalonym pędem biegnie ona z domu do domu, z kawiarni do kawiarni, wciska się nieproszona wszędzie, niby iskra elektryczna przebiega w jednej sekundzie olbrzymie przestrzenie — i natychmiast po swem narodzeniu staje się tajemnicą publiczną.

W ostatnich czasach, do plotek, któremi karmiła się lat kilkadziesiąt tak zw. inteligiencya warszawska, przybyła plotka nowego rodzaju, plotka wyrosła jak szkodliwy chwast na gruncie miejscowych stosunków politycznych. Dawniejsze stereotypowe pytanie: „kto go rodzi?" — zastąpiło dzisiaj demokratyczniejsze: „do jakiej partyi należy?" Bo dziś każdy szanujący się człowiek, niemal każda instytucya kulturalna czy społeczna musi mieć swoją etykietę. Jeśliby jej sama sobie nie przylepiła, znajdą się usłużni, którzy zawieszą nad nią szyldzik wielomówiący. Czasem taki szyldzik przylega do człowieka, jak plaster bezpieczeństwa, — czasem sterczy, jak piorunochron, ściągający pioruny z pogodnego nieba.

Dawniej tego rodzaju „usługę", ile razy wyrządzała krzywdę, nazywano poprostu denuncyacyą, dziś na określenie takich „usług" nie mamy nawet wyrazu. Tymczasem dawniej ploteczka pozostawała bez następstw, dziś staje się często kluczem, otwierającym wrota najstaranniej zamknięte. Nie powstrzymuje to plotkarzy. Plotkują kawiarnie, knajpy, biura, zebrania towarzyskie, plotkuje cała Warszawa.

Jakże wobec tego zachowuje się prasa?

Wstyd pomyśleć, że właśnie prasa polska staje się często źródłem, z którego biją mętne strumienie owej ploteczki. W artykułach wstępnych, w korespondencyach, ba! nawet w sprawozdaniach literackich spotyka się nieraz przejrzyste, bardzo przejrzyste aluzye, bardzo dużo mówiące napomknienia, czasem wprost wskazówki, o których niemożna myśleć bez wstrętu. Gdybyż to była zła wola piszących! Ach, w takim razie możnaby poruszyć opinię i, wyłączywszy człowieka złej woli z obrębu społeczeństwa, wskazać mu właściwe miejsce. Niestety, podkładem plotki jest tylko bezmyślne gadulstwo lub niepoczytalność. I to właśnie jest przerażające. Bo jakże ma się bronić ofiara, przed jaki trybunał zanieść skargę?..

Apelować do opinii?

Ależ ta opinia znieprawiona jest przez plotkującą prasę!..

Uczynić skandal?

Byłoby to samo, co potwierdzić przejrzystą aluzyę, nadać sprawie, która może przejść niepostrzeżona, rozgłos niepożądany...

To też poszkodowani milczą...

A lotna plotka korzysta w dalszym ciągu z wdzięcznej sytuacyi, z każdej igły robi widły, spada szumiącym deszczem etykiet na wszystkich i wszystko, szerzy się zbrodniczo jak zaraza nikczemna, w całej pełni rozkoszuje się atmosferą przymusowego milczenia. I to właśnie plotkę czasów ostatnich najwymowniej charakteryzuje.

(u) W artykule o tajemnicy zawodowej adwokata (*Gazeta Sądowa* N-r 2) spotykamy zdanie: „...zapytywano ironicznie, czyżby adwokat miał prawo ukrywać nazwisko prawdziwego winowajcy, nawet wtedy, kiedy niewinnie oskarżonemu grozi najokropniejsza ze wszystkich kar—kara śmierci. Bez wahania odpowiadamy: tak!"
Kolizya etyki zawodowej z etyką ludzką kategorycznie rozstrzygnięta na korzyść pierwszej. Adwokat przerósł człowieka. A jednak ośmielamy się przypuścić, że tak zawodowo wymacerowane sumienie zaniepokoiłoby się nieco, gdyby wypadkiem kandydatem na postronek okazał się nie jakiś tam obcy człowiek, ale sam szanowny pan mecenas—posiadacz tajemnicy, będącej dlań jedynym środkiem ratunku.

(g) Na słynnej premierze „Bolesława Śmiałego" kapitalne głupstwo palnął maszynista, że podniósł kurtynę. Spostrzegł się jednak i ku wdzięczności widzów wnet ją w środku sceny zapuścił. Cóż, kiedy bezlitosna dyrekcya kazała mu odsłonić i ukazać w całej pełni ostateczny upadek stołecznego teatru...

(G) Pani Iza Moszczeńska z powodu sprawy Widerszalówny skłonna jest przyznać pewne prawa rodzicom. Z kolei siostry miłosierdzia mimo przykazanie: „czcij ojca twego i matkę" — zajęły wręcz przeciwne stanowisko. Jednem słowem odwróciły się role i pojęcia, a występowe żywioły warszawskie wzburzyły się tak gwałtownie, jakby Widerszalówna była dziś jedynem w Polsce dzieckiem, wydartem z gniazda i zamkniętem.

(G) Głośna enuncyacya +d byłego sekretarza Macierzy przekonywuje zoologów, że gady z gatunku *reptilia stavica* (sztuka niewielka lęgnąca się znakomicie w cuchnących szlamach rodzimych naszych stawów — stąd nazwisko) nietylko syczą, ale i gadają, co jednak nie zaprzecza opinii Brehma, że u płazów wogóle „życiowa wytrzymałość idzie w parze z umysłową tępością"...

Ignacy Grabowski. Król Stanisław August—Tragiedya w 10 obrazach.— Rzecz osnuta na tle kroniki historycznej 1764—1768 roku. (Warszawa 1908, str. 159).

A więc rzecz się dzieje w przededniu pierwszego rozbioru Polski, w dobie obfitego rozlewu podłości i rzadkich rozbłysków cnoty obywatelskiej... W epoce kuszącej dramaturga jaskrawą barwnością charakterów, niezrównaną grą światłocieni, — a przesiąkniętej ponurą melodyą nieodwołalnego *Requiem*, którego echa grają jeszcze dziś w zakątkach wielu, wielu dusz.

Czy autor wyczerpał w swej „tragiedyi"—raczej może kronice udramatyzowanej— wszystko, w co obfitowała ówczesna rzeczywistość? Zapewne—nie; ale z niemniejszą pewnością rzec można, że nie pominął żadnego prawie z tonów, z których się składał przeraźliwy dysonans owej doby. Kazał przemówić każdemu, czyje słowo ważyło na szali wypadków, i każdy—czy to król, czy ambasador, czy szlachcic bezimienny—staje przed czytelnikiem w szacie swej indywidualności. To już dużo.

Na scenie ta zaleta musi się przedstawić jeszcze ostrzej i wypuklej. Daje przeto ta rzecz szerokie pole aktorowi-artyście, charakterystyka bowiem osób jest jasna, wyraźna a szeroka.

Ale nie starczy do wypowiedzenia się autorowi osób historycznych. Chce on widocznie uwydatnić coś, czego nie może włożyć w usta żadnej z historycznych postaci, bo fałszem rozdźwiękłyby jej słowa—fałszem lub deklamacyą, emfazą. To „coś" jest to instynkt płomienny, rozświetlający drogę narodowi, ten instynkt, który w owej epoce był rozprószony w wielu, a nieześrodkował się w nikim. I dlatego nie mógł rozbłysnąć. Głos jego bujał nad tłumami, to niewątpliwe. Znajdował oddźwięk w duszach Sołtyka, Radziwiłła, szlachcica Młodego, Czartoryskiego Adama. Lecz inne głosy w każdej z tych dusz zagłuszały przeczysty ton instynktu, i w tem była ich tragiedya.

Wprowadza więc autor postać półfantastyczną—Beniowskiego. Kim ma być on— widzimy z jego własnych słów:

„Pytasz kto jestem? Jestem z jakichś kresów
„ojczyzny, Boga, wolności i prawdy,
„bo to jest jedno, choć dzielą je zawdy.
. . . .
„Chcecie mego passe-porte,—ślijcie do Mohorta,
„Na Dzikie Pola, gdzie Tatarska porta
„pieje jak kogut na wieczne czuj-duchy!
„Tam mi wyjęto rękę z za pazuchy" — — —

Założenie piękne. Jak pogodzić z niem inny ustęp autocharakterystyki Beniowskiego: „tutaj dziewce pierś połechcę, indziej klesze gębę czeszę"... — jak, powtarzam, pogodzić ten ustęp z przytoczonymi i innymi—tuż obok—to pozostaje, zdaje mi się, tajemnicą swady i temperamentu autora.

Swoją drogą przemówienie Beniowskiego w 1-szym obrazie jest najpiękniejszym i najgłębszym momentem z całego utworu.

Co do zewnętrznej strony książki. Rzadko—nawet u nas—można znaleść rzecz tak dokładnie zeszpeconą błędami drukarskimi. Szkoda... *J. Adamowicz*

= Wyszła w świat wybitna i znamienna książka. Tytuł jej: MONSALWAT — Rzecz o Adamie Mickiewiczu—napisał *Artur Górski—nakładem autora*—Kraków, 1908. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki.

Pięknej tej księdze poświęcone będzie specyalne studyum, które damy w najbliższym czasie. Teraz notujemy tylko przerażająco smutny objaw: taka książka nie znalazła w Polsce nakładcy!

= Jednocześnie ukazał się dokonany przez Artura Górskiego wybór wykładów, przemów, pism i listów *Adama Mickiewicza* z lat 1840 — 1855 p. t.: NADESZŁY INNE CZASY, wydany już nakładem Gebethnera i Wolffa i stanowiący przypisy do powyższego dzieła A. Górskiego.

= Z nowości beletrystycznych mamy do zanotowania dwie powieści, mianowicie: DZIEJE GRZECHU *Stefana Żeromskiego* i JASKÓŁKĘ *Gustawa Daniłowskiego*.

= W ostatnim (30-ym) zeszycie CHIMERY twórca jej, *Miriam*, w „Ostatnich słowach" przemawia:

„Postanowiwszy uczynić zeszyt niniejszy ostatnim, — nie bez wzruszenia jednak żegnamy i sam korabl z banderą Chimery, na który,—pomnicie, towarzysze?—z takim w słońca wiodącym siadaliśmy zapałem, — i was, wysoka drużbo twórcza, wytrwała a niezłomna,— i was, nieliczni czytelnicy wierni, dla których księgi nasze nie rozrywką były, ale potrzebą. Żegnajcie i pomnijcie!"

= W d. 24 stycznia odbyło się ostatnie walne zgromadzenie unieruchomionej POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ celem zlikwidowania jej interesów do czasu ponownego uruchomienia oraz rozrządzenia istniejącym funduszem.

Majątek Macierzy po dzień 21 stycznia r. b. stanowiły: a) pozostałość w kasie zarządu głównego 640 rb. 69 k., b) w Banku Handlowym w Warszawie na rachunku bieżącym 10042 rb. 70 kop. (bez wliczenia w to procentu bieżącego od 1 stycznia r. b.) c) w Banku Krajowym Galicyjskich 193.370 rb. 64 kop. (bez wliczenia w to procentu bieżącego od 16 listopada 1907), d) depozyty papierów procentowych, ocenionych w dn. 17 grudnia 1907 r. na 94,047 rb. 25 kop. i stanowiące pokrycie trzech kapitałów żelaznych, ocenionych na 91,480 rb.—z przewyżką do dyspozycyi w sumie rb. 2567 k. 25.

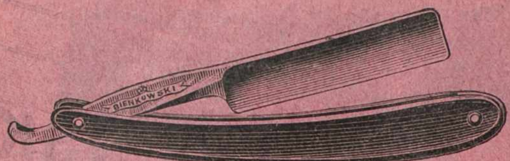
Smutnego swego obowiązku dopełniła Macierz, dzieląc ów majątek pomiędzy liczne instytucye oświatowe. Rozumiemy dobrze, że nie mogło wystarczyć kapitałów na obdarowanie wszystkich bez wyjątku stowarzyszeń i uczelni. Uderza jednak okoliczność, że śród pominiętych są właśnie te wszystkie instytucye, które słyną, jako postępowe, a więc: Towarzystwo Kultury Polskiej, Uniwersytet dla wszystkich i t. d.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.



A. WRÓBLEWSKI i S-ka Trębacka Nr. 13. Marszałkowska Nr. 100.





Redaktor i wydawca: H. St. PYTLIŃSKI.

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy-Świat 41